

1.

*Po 27.11.1941, Warszawa-getto. N.N., Relacja pt. „Jak zorganizowano obronę przeciwlotniczą w okresie oblężenia Warszawy we wrześniu 1939 r. w domu żydowskim przy ulicy Franciszkańskiej 30” (27.11.1941 r.)*

[1] Jak zorganizowano obronę przeciwlotniczą w okresie oblężenia Warszawy we wrześniu 1939 r. w domu żydowskim przy ulicy Franciszkańskiej 30.

W sierpniu 1939 r. został wyznaczony na komendanta<sup>1</sup> OPL jeden z lokatorów, zamożny kupiec galanterii p. Kl.<sup>2</sup> Do swoich obowiązków odniósł się on z wielką powagą i energicznie zabrał się do prac przygotowawczych. Przede wszystkim zajął się urządzeniem kilku schronów w domu. Dom ten był zamieszkały wyłącznie przez Żydów. Fundusz na urządzenie schronów (kilka tysięcy złotych) zebrano wśród samych lokatorów. Odnieśli się oni do tych przygotowań z dużym zaufaniem i chętnie wpłacali wyznaczone im przez komendanta sumy. Dzięki takiemu stosunkowi prace szły nader składnie i komendantowi udało się urządzić pierwszorzędnny schron, będący istną fortecą. Ze względu na urządzone schrony przebywało w owym domu w okresie bombardowania przeszło 1000 osób. Z innych domów przybywali ludzie szukać tutaj schronienia, nawet rabin z Lubawicz<sup>3</sup> prosił o umieszczenie w schronie.

W schronie znajdował się pokój komendy [OPL] z telefonem i radioaparatem. Komendant wyznaczył też stałe dyżury oraz zorganizował służbę zastępczą kobiet. Dnia 7 września, gdy mężczyźni opuszczali Warszawę<sup>4</sup>, kobiety objęły w tym domu służbę OPL.

<sup>1</sup> W oryg. słowo „komendant” jest konsekwentnie pisane wielką literą, niewątpliwie dla podkreślenia zasług opisywanej postaci.

<sup>2</sup> W spisie abonentów telefonicznych na rok 1938 pod adresem Franciszkańska 30 można odnaleźć skład konfekcyjny Szyi Klugiera (tel. 12-19-53). Nie jest jednak pewne, czy chodzi o tę samą osobę. Zob. *Spis abonentów warszawskiej sieci telefonów Polskiej Akcyjnej Spółki Telefonicznej i rządowej warsz. sieci okręgowej*, Warszawa 1938, s. 161. Zob. też ARG I 364 (Ring. I/777/6).

<sup>3</sup> Miasteczko Lubawicze (pow. Orsza w gubernii mohylewskiej) na przełomie XVIII i XIX w. stało się ważnym ośrodkiem ruchu chasydzkiego, jego nurtu „Chabad”, pod przewodnictwem potomków Szneura z Ladów. Nazwa miasteczka była i jest nadal używana przez członków tego nurtu chasydzkiego.

<sup>4</sup> Płk Roman Umiastowski, szef Biura Propagandy przy Sztapie Naczelnego Wodza, wygłosił w nocy z 6 na 7 września 1939 r. przemówienie radiowe, nakazując wszystkim niezmobilizowanym mężczyznom zdolnym do służby wojskowej udanie się na wschód oraz wzywając ludność stolicy do obrony miasta i budowy barykad. Czerniaków zanotował w swoim dzienniku 7 września: „Z plecakiem na grzbietach wyruszyli różni w nieznaną”. Zob. *Adama Czerniakowa dziennik getta warszawskiego 6 IX 1939–23 VII 1942*, oprac. Marian Fuks, Warszawa 1983, s. 45.

Schron był zaopatrzone w urządzenia wentylacyjne, a wszystkie jego otwory i wyloty były uszczelnione workami z piaskiem. Uszczelnienia te w dużej mierze przyczyniły się do zapewnienia bezpieczeństwa mieszkańcom domu. Miał nawet miejsce wypadek, że szrapnel uderzył w [2] sąsiedztwo i w okna schronu, ale dzięki workom z piaskiem nikt nie ucierpiał. Schrony mieściły się w składach piwnicznych domu. Niektóre z nich były opróżnione, w innych zaś leżały towary, właściciele jednak zgodzili się oddać nawet pomieszczenia z towarami do dyspozycji lokatorów i postanowili użyć je do celów OPL. W schronie znajdowały się wszelkie urządzenia ratownicze. Był on wyposażony w dobrze zaopatrzoną apteczkę, nosze i gaśnicę. Gaśnicę kupił komendant już podczas bombardowania, a dzięki niej udało się uratować dom od pożaru.

Dom przy Franciszkańskiej 30 był jednym z nielicznych domów, który do ostatniej nocy działań wojennych posiadał wodę do gaszenia. Przeworny komendant zbierał bowiem zapasową wodę w naczyniach, na których umieścił napisy: „Woda zatruta”, i w ten sposób udało mu się odstraszyć pozbawionych wody mieszkańców, by jej nie używali. Ten zapas wody stanowił prawdziwe dobrodziejstwo dla domu, a nawet gdy płonął sąsiedni dom przy Franciszkańskiej 28, gasiła go służba przeciwpożarowa F[Franciszkańskiej] 30. Przez cały czas działań wojennych komendant nie opuścił swego posterunku, nie przerwał służby nawet 13 września, gdy żona jego została raniona na ulicy. Dom ten zdobył sobie rozgłos w całej dzielnicy i komendanci innych domów przychodzili [zobaczyć], jak urządzono tutaj OPL. Również w prasie ukazała się notatka, że na Franciszkańskiej 30 zorganizowano OPL w sposób wzorowy i godny uznania („Kurier Czerwony”)<sup>5</sup>.

W ostatnich dniach bombardowania został zabity obwodowy OPL ul. Franciszkańskiej, a jego stanowisko objął komendant domu nr 30. Otrzymał on do podziału wśród mieszkań[ców całej] ulicy furę chleba [3] i słoniny. Zaznaczyć należy, że w owych dniach ludność dobitnie [odczuwała] brak wszelkiej żywności, a w szczególności brak chleba – chleb przyniesiony należało odebrać z piekarni przy ul. Przebieg. Komendant jednak obawiał się, by wygłodniała ludność nie rozchwytała po drodze wziętego chleba, toteż dla eskorty zebrał wszystkich komendantów domów z całej ulicy, zabrał też kilku żołnierzy z bronią i pod takim konwojem przewiózł chleb z Przebiegu na Franciszkańską i rozdzielił go.

Służba ratownicza domu Franciszkańska 30 ratowała chorych w sąsiednich domach. Przyniesiono np. ratunek całej rodzinie, która zatrula się zepsutą żywnością w pobliskim domu, opatrywano też rannych sąsiadów. Podczas pożarów zaś w okolicznych domach wypożyczano nosze, kubły, łopaty i inny sprzęt i w ten sposób przychodzono im z wydatną pomocą.

Gdy uległy zniszczeniu domy nr 24, 26, 28, 29 i 31, zostały tam częściowo spalone sklepy z towarami. Moment ten wykorzystali chłopcy żydowscy z najniższych

<sup>5</sup> „Dobry Wieczór! Kurier Czerwony”; niestety, nie udało się odnaleźć tego artykułu.

sfer społecznych i rozpoczęli w tych składach rabunek towarów. Widząc to, komendant domu nr 30 poczynił odpowiednie kroki, by położyć kres podobnym wyczynom. Zamknął mianowicie całą ulicę [z dwóch?] stron i ustawił kordon, utworzony ze służby dwóch poszkodowanych domów. Z obydwu stron kazał też wznieść barykady ze skrzyń i ławek i zamknął cały ruch do czasu, dopóki prawowici właściciele sklepów nie zabiorą swych towarów. Kordon ten utrzymano przez kilka dni. Ludzie siłą chcieli przedrzeć się przez zamkniętą ulicę, służba kilkakrotnie używała też przemocy, by ich odepchnąć i nie dopuścić do otwar[cia] sklepów.

[4] Jak wielkie znaczenie miała racjonalnie i sprężyste zorganizowana służba OPL, świadczy dobitnie fakt, że domy przy Franciszkańskiej 26, 28 zostały spalone z braku należytej opieki, gdyż komendanci tych domów opuścili swe stanowiska i puciekali. Gdy wybuchły te pożary, komendant spod nr. 30 zajął się ratownictwem owych domów. Posłał na Nalewki po straż ogniową<sup>6</sup> i musiał zapłacić 1000 złotych, by możliwie szybko przybyła na miejsce, a następnie podczas całej akcji gaszenia żywił wszystkich strażaków przez kilka dni. Kiedy strażacy akcją swoją zakończyli i udało im się umniejszyć pożar pod nr. 28, służba przeciwpożarowa domu nr 30 zorganizowała dalsze gaszenie i umieściwszy na dachu wąż, automatycznie kierowała strumienie wody na ogień w domu nr 28.

Dla zabezpieczenia przed ewentualnym pożarem postanowił komendant nabyć gaśnicę dla domu. Gaśnicę należało kupić w firmie „Strażak” na pl. Piłsudskiego<sup>7</sup>, a droga była bardzo niebezpieczna, gdyż trzeba było przechodzić przez barykady oraz ciągle narażonym się było na ugodzenie szrapnelem lub na śmierć od kuli czy bomby. Sąsiedzi odradzali komendantowi i wstrzymywali go przed pójściem, on jednak na to nie zważał i z narażeniem życia kupił gaśnicę. (Z okolicznych domów tylko dom na Nalewkach 43 posiadał również gaśnicę).

Kiedy dookoła na całej ulicy wybuchły pożary, wszyscy lokatorzy tego domu poczęli uciekać. Komendant obawiał się tego, chciał bowiem zatrzymać ludzi do ewentualnej akcji gaszenia pożaru i sam służył sąsiadom przykładem, pozostając na stanowisku, mimo że jego [5] żona leżała ranna w schronie. Nie pozwalał też uciekać innym, bił się nawet z niektórymi i tym sposobem udało mu się zatrzymać w domu kilka osób.

Postawa komendanta, jego sprężysta władza i opieka dobroczynnie działały na wszystkich lokatorów – czuli się oni z nim bezpieczniejsi i pewni. Dnia 7 września, kiedy komendant na 1 dzień opuścił dom, zapanowało wśród lokatorów duże zanie-

<sup>6</sup> Posterunek straży był w koszarach artylerii zbudowanych ok. 1777 r. przy ul. Nalewki 3. Do 1937 r. w budynku mieściła się również Komenda i Biura Sztabu Straży Ogniowej w Warszawie (przeniesione później na ul. Polną).

<sup>7</sup> Fabryka narzędzi pożarniczych „Strażak” mieściła się przy ul. Królewskiej 11, obecnie w tym miejscu stoi hotel Sofitel Victoria. Zob. *Warszawski skorowidz branżowy na rok 1936–37*, Warszawa [1936], s. 379.

pokojenie z braku odpowiedniej opieki. Przez cały czas bombardowania kometant codziennie zwoływał lokatorów na apel, podtrzymywał ich na duchu, udzielał instrukcji i mówił, co należy czynić. Zaprowadził też w domu dyscyplinę wojskową, dzięki której udało się do końca działań wojennych utrzymać wszystkie warty.

Ze względu na sprężystą i racjonalną organizację służby OPL ani dom, ani żaden z lokatorów nie ucierpiał, nikt nie został raniony ani nie doznał podczas bombardowania żadnych uszkodzeń.

(27 XI [19]41 r.)

ARG I 1094 (Ring. I/188)

Opis: odpis (2 egz.), rkps (JG\*), ołówek, j. pol., 145×200 mm, drobne uszkodzenia i ubytki tekstu, k. 10, s. 10.

Na prawym marginesie s. 1 (1. egz.) inf. H.W.: „Kon”<sup>8</sup>.

Inw.: „Protokółowane przez A. [s] Konińskiego”<sup>9</sup>. Przypuszczalnie inf. na podstawie powojennej, lecz zaginionej notki H.W.

Edycja na podstawie 1. egz. odpisu dok., k. 5, s. 5, z wykorzystaniem także 2. egz., k. 5, s. 5.

Po 27.09.1939, Warszawa-getto. N.N., Wspomnienia z września 1939 r. Obrona Warszawy

2.

[1] Piątek, 1 IX [19]39 r.

[Wo]jna!

[M]ówiło się o niej wciąż, ciągle się jej spodziewano, w końcu przysła z całą grozą i potęgą niszczycielską. Do ostatniej chwili byli tacy, którzy twierdzili, że wojny nie będzie. Tymczasem stało się inaczej, a stało się tak szybko, że trudno się było zorientować, co się właściwie dzieje.

...Pierwszy alarm lotniczy. Wszystkich gnębi jedno pytanie: czy to próbny alarm, czy też prawdziwy pierwszy nalot nieprzyjacielskich samolotów? Słychać warkot samolotów, dalekie huki, detonacje. Nie, teraz to nie są już więcej ćwiczenia – w jednej chwili dla wszystkich staje się jasne, że wojna już się zaczęła. Wojna stała się faktem dokonany. Teraz nie ma się po co ludzi.

<sup>8</sup> Kryptonim Natana Konińskiego, jednego ze współpracowników „Oneg Szabat”, zob. *Ludzie i prace „Oneg Szabat”*, s. XXVI, XLV.

<sup>9</sup> Zob. *Inwentarz Archiwum Ringelbluma*, s. 35.

Na mieście ruch szalony – wszędzie ogonki, już daje się odczuwać brak mąki, cukru, kaszy. Największy popyt jest na środki opatrunkowe. Ludzie kupują – szaleją. Nie wiedzą, co w pierw kupić i jak [2] się ratować, czym się ratować. Każdy papier do okien, wojłok do uszczelniania okien i drzwi, gaza i wata do tamponów. Po południu znowu nalot. Teraz dla wszystkich staje się jasne, że chociaż nie jesteśmy na froncie, że front jest nad nami – wojna jest nad naszymi głowami. Jesteśmy igraszką dla wroga, bezbronnym stadem, które można z góry obsypywać deszczem bomb i pocisków. Od tego dnia naloty na Warszawę powtarzają się. Ale do wszystkiego można się przyzwyczaić. Po kilku dniach alarmy i naloty już na nikim nie robią wrażenia. Na dźwięk syreny wszyscy spokojnie wchodzą do bram. Po siedmiu dniach wojny są zagrożone mury stolicy.

Noc z czwartku na piątek – 7 września. Cienie ludzi snują się we wszystkich kierunkach, odczuwa się gorączkowe podniecenie. Co to może być? Czy może już Niemcy wkraczają?

[3] Wiadomość z radia wyjaśnia sytuację. Rząd, wszystkie urzędy państwowe, Polskie Radio – opuszczają stolicę. Niemcy zbliżają się do Warszawy. Wzywa się wszystkich mężczyzn od 18 do 50 lat do opuszczenia miasta w ślad za wojskiem...<sup>10</sup>

Straszna panika ogarnęła wszystkich; na skutek wezwania radiowego kto tylko mógł, brał plecak, nogi za pas i szedł. Dokąd? Na wschód, aby dalej od Warszawy.

Od tego dnia stale są naloty na Warszawę, ale teraz nie są one tak dalekie, jak z początku. Każda bomba burzy dom wokoło nas. Pali się pasaż Simonsa<sup>11</sup>, Złota, Sienna. Nie można położyć się spać. Każdy kładzie się w ubraniu, aby w każdej chwili móc wyskoczyć z łóżka. W nocy nie ma nalotów, ale za to ciężkie działa artyleryjskie, których pociski burzą domy, tak jak bomby z samolotów. Całą noc bez przerwy grają armaty. Gdy nie grozi bomba, grożą szrapnele, granaty rozpryskujące się na tysiące odłamków, z których każdy przynosi śmierć.

[4] Stanie w ogonkach to najważniejsze zajęcie, w którym musi brać udział cała rodzina, bo stać trzeba godzinami na zmianę. Najdłuższe ogonki po chleb. O 5-ej nad ranem stanąć przed piekarnią, żeby zdobyć ten kawałek chleba. Ale i to okazało się za późno. Więc o 2-ej w nocy, pod gradem bomb i szrapneli, stoi już kilometrówy ogonek. A nazajutrz z ust do ust przechodzi wiadomość, że przed piekarnią szrapnel zabił 3 osoby stojące w kolejce.

Po ewakuacji Rządu nastąpiły zmiany w dowództwie warszawskim; otrzymano rozkaz, aby bronić Warszawy do ostatniej kropli krwi.

<sup>10</sup> Chodzi o przemówienie radiowe płk. Romana Umiastowskiego, zob. przyp. w dok. 1.

<sup>11</sup> Pasaż Simonsa – sześciopiętrowy budynek o konstrukcji żelbetowej, u zbiegu Długiej i Nalewek, zbudowany w latach 1900–1903. Mieściły się tam sklepy, biura, magazyny i hotel. Częściowo zniszczony we wrześniu 1939 i w sierpniu 1944 r., zawalił się podczas nalotu niemieckiego 31 VIII 1944 r.

Z Łodzi przybywają tysiące uciekinierów, oni również, podobnie jak w Warszawie na wezwanie radiowe, aby opuścić miasto wraz z wojskiem, w nocy opuścili domy, rodziny, aby przywędrować do Warszawy – autami, furmankami, lecz przeważnie pieszo.

Opowiadania tych ludzi z drogi są straszne.

O 10-ej godz. wybuchła panika. Ulice zapełniły się tłumami ludzi – mężczyzn, [5] kobiet, starców, dzieci. Wszyscy jednym wielkim strumieniem płynęli w jednym kierunku. Widok ten był tak niesamowity, że wywoływał wrażenie, że wszyscy bez wyjątku mieszkańcy Łodzi opuszczają miasto. Oczywiście zasugestionowani tym widokiem nawet i ci, którzy nie chcieli iść, szli pomimo swej woli, porwani prądem. Prawdziwe piekło rozpoczęło się po wyjściu poza obręb miasta. Wszyscy szli szosami i wszyscy w kierunku Warszawy. Nic dziwnego, że pochód złożony z przeszło 200 tys. ludzi nie uszedł uwadze lotników niemieckich. Ci, nie licząc się z tym, że jest to ludność cywilna, uchodźcy, zaczęli bombardować z góry bezbronny tłum. Popłoch, który powstał, nie da się opisać. Ludzie wyskakiwali z aut, furmanek, porzucali na drodze wszystkie swe rzeczy i na oślepe pędzili w pole, aby się skryć. Ale nie było gdzie się skryć. Dookoła otwarte pola. A więc – plackiem na ziemię. Kto miał tyle odwagi, by patrzeć śmierci w oczy, i ten mógł widzieć, jak samolot krążąc powoli, opuszcza się miękko, nisko i z karabinem maszynowym [6] bohaterski lotnik celuje do leżących w polu ludzi. Ilu z nich nie podniosło się już więcej? A ci, którzy wstali, są oszaleli ze strachu. Na wółprzymotni ze strachu wracają na szosę. Wszyscy się gubią, ojciec nie znajduje swojego syna, brat brata. Wreszcie przyszedli do Warszawy – rozbici, złamani, okryci grubą warstwą kurzu, z zaschniętymi gardłami i ledwie powłócząc nogami – jak kalecy. Przybyli nareszcie do tego rajy, do którego tak wytrwale dążyli. A cóż tu zastali? Po ulicach hulają szrapnele i pociski, nie ma co jeść, nie ma gdzie się podziać.

Rosz ha-Szana<sup>12</sup> 14.9.[19]39 r.

W dniu tym jest nalot taki, jakiego jeszcze dotychczas nie było. Samoloty wciąż krążą nad nami. Bomby spadają koło nas, słychać okropne huki. Wszystko się trzęsie. Nie można usiedzieć w domu. Każdy trzyma tobołek w ręku lub walizeczkę na wypadek, jeśli trzeba będzie uciekać. Stłoczeni w bramie, wszyscy stoją i nad słuchują. Serca [7] walą. Słychać przeciągły gwizd – to bomba burząca przecięła powietrze i zanim się słyszy huk jej wybuchu, mija straszna sekunda oczekiwania. W ciągu tego ułamka sekundy tysiące myśli przewija się przez głowę, serce przestaje bić na chwilę, oddech wstrzymany, a gdy się już słyszy ogłuszający huk, to jakby jakaś ulga, że ta bomba nie była dla nas przeznaczona. Nowy gwizd. Każdy

<sup>12</sup> W oryg. Rosz Haszanach.

kuli się w sobie, aby stać się mniejszym, jak najmniejszym, aby jego bomba ominęła. Wszystko staje się obojętne, aby tylko nie w nasz dom, nie w nasze mieszkanie, nie w kogoś z naszej rodziny! Niska się pali, Stawki się palą! Nalewki się palą. Do bramy wnoszą 3 rannych, leżą na ziemi, strasznie jęczą: jeden ranny w obie nogi krwawi okropnie.

Nagle – na podwórku popłoch, jakieś krzyki. Co się znowu stało? Z okna na strychu wydobywa się dym. Widocznie spadła bomba zapalająca! [8] Co robić? Każda sekunda jest droga. Już nasza dzielna straż przeciwpożarowa pędzi na strych z łopatami w ręki, bomby zapalające i burzące fruwią nad naszymi głowami, a oni ratują dom. Chłopcy pracują jak opętani. Pędzą z dołu na górę z piachem i wodą. Pożar ugaszony w zarodku. Nalot trwa dalej. Zaczyna się ściemniać. Teraz dopiero widać, jaka krwawa luna rozlała się po niebie, aż wszystko staje się purpurowe. Teraz dopiero widać gęste, czarne kłęby dymu, które z wszystkich stron unoszą się do nieba. Pożary oświetlają nas lepiej niż słońce w dzień. Trzymamy tobołki w ręku i idziemy. Uciekamy. Wydaje się nam, że gdzie indziej będziemy bezpieczniejsi. Ulica zalana czerwonym światłem pożarów, jakby skąpana we krwi, zamiast powietrza – czarny, gryzący dym, który przesłania domy, tak że widać zaledwie ich kontury. Czarne płaty sadzy i czerwone iskry fruwią wszędzie. Ze wszystkich stron ogień. Płomienie buchają z okien domów. Dachy płoną. Środkiem ulicy płynie bezładny, oszalały tłum. Jedni biegną w tę, drudzy we wprost przeciwną stronę. Dźwigają swe tobołki wraz [9] z nędznym dobytkiem: poduszki, pierzyny, parę garnków. Chcą się ratować, uciekać od pożaru, nie wiedzą, gdzie uciekać, jak się ratować. Biegną w jakimś kierunku, płomienie zagradzają drogę, więc biegną z powrotem, wpadają jedni na drugich, gubią się. Jęki, krzyki, płacze: Ludzie! Ludzie! Ratujcie! Ogłupiali – pędzimy jak inni. Z jednej strony – Wołyńska. Z drugiej – Kupiecka przyświecają nam pożarami. Na Gęsiej palą się trzy domy: nr 14, 16, 18. Mijają cztery dni. Bezustannie grają armaty, pękają artyleryjskie ciężkie pociski, szrapnele deszczu odłamków sypią się na ulicę, wpadają do mieszkań i niosą śmierć. Nie jesteśmy wcale w mieszkaniu, tylko w bramie na schodach, nawet w nocy drzemimy z głową opartą o mur.

Ulice pełne śmieci i odłamków szkła. Domy świecą pustymi dziurami zamiast okien – mury podziurawione odłamkami szrapneli. Co parę kroków barykady: wyrwane kostki z bruku, stoły, stołki, przewrócone tramwaje, budki od papierosów, wszystko razem sprawia wrażenie kupy [10] śmieci. Te barykady mają bronić przed wrogiem. Tymczasem rola ich polega na tamowaniu ruchu ulicznego, na zamykaniu drogi ludziom uciekającym z pożaru, na niedopuszczaniu straży ogniowej do płonących domów. Zresztą straż ogniowa i tak już od dawna zaprzestała gaszenia pożarów. Zbyt wiele pożarów powstaje jednocześnie. Przeważnie więc gdy dom się pali, pali się bez przeszkód, gruntownie, doszczętnie, aż pozostaje z niego sam wypalony szkielet, dom – trup.

Sobota, 23.9.[19]39 r. Jom Kipur.

Siedzimy w piwnicy. Wydaje się, że tu będzie bezpieczniej. Od ziemi ciągnie nieznośny chłód i wilgoć. Ciemno wokoło, nie ma już elektryczności – elektrownia zbombardowana – nie ma gazet ani radia<sup>13</sup>. Jesteśmy odcięci od świata. Nie wiemy, co się dookoła nas dzieje, nie wiemy nawet, co się dzieje na drugiej ulicy. Każdy dom staje się osobnym miasteczkiem, w którym wszystkie rodziny zbratane wspólną niedolą pochłonięte są jedną myślą: żeby tylko nasz dom ocalał. Nie ma już również i wody. Gdy dom zaczyna płonąć, [11] nie ma dla niego ratunku i cały połączony z nim blok domów jest zagrożony. I tak wypalają się całe ulice.

Poniedziałek, 25.09.[19]39 r.

Tyle było dni okropnych, ale ten poniedziałek prześcignął wszystkie dotychczasowe. Samoloty płyną, płyną bez przerwy. 10 godzin trwa nalot. Przez 10 godzin pięćset, a może tysiąc bombowców bez przerwy krąży nad Warszawą, nie darując ani jednej ulicy, ani jednemu domowi<sup>14</sup>. Bomby zapalające lecą przed naszymi oknami, trzy bomby zapalające tlą się na strychu, bomba burząca spada przed naszym domem o parę centymetrów od muru, wszystkie szyby wylatują w całym domu. Dookoła nas walą się domy i pożary, przez nikogo niegaszone, rozszerzają się z gwałtowną szybkością, zagarniając coraz więcej domów i ulic. Już wszystko jedno, jesteśmy zubożeni. Tak czy owak, bomba na pewno spadnie na nasz dom, cóż za różnica, czy 5 minut wcześniej, czy później. Niech się już stanie! Niech już będzie koniec!

A jednak i ten dzień się skończył. Potem nastąpiła noc, najstraszniejsza noc wtorkowa. 10 godzin bombardowania artylerii.

[12] Środa, 27.9.[19]39 r.

Panuje wielka cisza, jakiej już dawno nie było. Nie słychać ani jednego strzału. W bramie ruch i ożywienie. „Zawieszenie broni!”<sup>15</sup> Tłumy zalegają ulice. Radosna wieść w jednej chwili obiega całe miasto, ludzie wychodzą ze swoich kryjówek. Po tych dniach spędzonych w piwnicy stęchłej i ciemnej świat wydaje się jasny i radosny. Odstawienie od światła dziennego ludzie mrużą oczy od nadmiaru

<sup>13</sup> Gazety codzienne wychodziły do początku października, choć ich dystrybucja była utrudniona.

<sup>14</sup> Było to największe bombardowanie Warszawy w 1939 r., zginęło wówczas ok. 10 tys. osób i ok. 35 tys. było rannych, w tym przeważającą część stanowiła ludność cywilna, zniszczeniu uległo ok. 12% zabudowy miasta.

<sup>15</sup> 27 września 1939 r. zapadła decyzja o zawieszeniu broni, a ostateczna kapitulacja Warszawy nastąpiła 28 września; do niewoli niemieckiej dostało się 120–140 tys. żołnierzy polskich.



blasku. Cisza jest tak niezwykła, tak wielka, że wprost przeraża. Odwykliśmy od niej. Można iść spokojnie ulicą, nie będąc w strachu, że za chwilę trzeba uciekać, kryć się przed nalotem. Na ulicach kupy tłących się jeszcze gruzów, głębokie wyrwy po bombach, trupy gnijących okrojonych z mięsa koni. Z dwóch stron sterczą wypalone szkielety domów albo domy na wpół zniszczone. Wiszą na nich resztki podłóg, sufitów, pieców – sterczą szerniałe, wypalone belki. Szary pył z gruzów pokrywa wszystko grubą warstwą – włosy, twarz, ręce – wszystko szare. Nieznośny swąd spalenizny gryzie w gardle.

[13] Marszałkowska, Nowy Świat, Krakowskie Przedmieście – nikt by nie poznał, że cztery tygodnie temu były to najładniejsze ulice Warszawy. Gruzy na gruzach. Dworzec Główny zawalony gruzami, olbrzymi plac, na którym dawniej znajdowało się centrum Warszawy – najbardziej ożywiony, najruchliwszy punkt miasta, serce stolicy.

ARG I 1092 (Ring. I/337)

Opis: odpis (2 egz.), rkps (CC\*), ołówek, j. pol., 150×205 mm, drobne uszkodzenia i ubytki tekstu, k. 26, s. 26.

Druk: BŻIH 1969 nr 2 (70), s. 101–105 (oprac. Adam Rutkowski); *Dzień po dniu Zagłady*, s. 8, 17 (fragment).

Edycja na podstawie 1. egz. odpisu, k. 13, s. 13, z wykorzystaniem także 2. egz., k. 13, s. 13.

---

### 3. *Po 1939, Warszawa-getto. N.N., Relacja z kampanii wrześniowej 1939 r. w Warszawie*

---

[1] 1 września 1939 r. zostałem zmobilizowany jako rezerwista. Moim pierwszym etapem były koszary na ulicy Czerniakowskiej<sup>16</sup>. Tu otrzymaliśmy odzież wojskową i broń. Byliśmy tu całkiem dużą grupą Żydów i prawie wszyscy zostaliśmy skierowani do batalionu „wartowniczego”<sup>17</sup>. Pewnego razu, gdy siedzieliśmy sobie i rozmawialiśmy, zwrócił się do nas sierżant z zapytaniem, kto z nas umie dobrze pisać, i gdy zgłosiłem, że to potrafię, zostałem zaproszony jako pisarz do kancelarii kapitana. Ów sierżant był człowiekiem kulturalnym i odnosił się bardzo

<sup>16</sup> Dawne koszary carskie między ulicami Łazienkowską a Podchorążych, w dwudziestoleciu międzywojennym stacjonował tu 1 Pułk Szwolężerów Józefa Piłsudskiego.

<sup>17</sup> <sup>c-c</sup> W oryg. w j. pol. alfabetem hebr.

przyjaźnie do wszystkich żołnierzy, bez względu na narodowość. Pierwszego dnia mojej pracy w kancelarii, 4 września wieczorem, zostałem zaskoczony przez niecodzienny dźwięk samolotów, rozbrzmiewający nad budynkiem naszych koszar na ul. Czerniakowskiej. Pomyślałem, że to ćwiczenia polskich samolotów, wkrótce jednak nadszedł rozkaz alarmowy, bo okazało się, że to niemieckie samoloty szpiegowskie, przeciwko którym natychmiast rozpoczęła się zaciepła obrona. W obawie, że Niemcy nas wyśledzili, jeszcze tego samego wieczoru opuściliśmy koszary i w kompletnych ciemnościach przemaszerowaliśmy do cytadeli<sup>18</sup>. [2] Maszerowało wówczas około tysiąca żołnierzy, w tym całkiem spora liczba Żydów. Byliśmy podzieleni na kompanie. W mojej kompanii było 70–80% Żydów. W pierwszych dniach stosunki między Polakami i Żydami były dość przyjazne. Po kilku dniach pobytu w cytadeli dostaliśmy rozkaz, by ją opuścić. Warszawa przygotowywała się do walk ulicznych, a my mieliśmy walczyć na linii obronnej Wisły na odcinku Warszawa-Południe. Zostaliśmy umieszczeni w gimnazjum na ul. Konopackiej<sup>19</sup>, który to budynek mieliśmy przygotować do walki ulicznej. Okna obłożyliśmy workami z piaskiem itd. Ale tu zaczęliśmy po trochu odczuwać polski antysemityzm. Nasza kompania została przekazana pod dowództwo pewnego podoficera, który zaczął demonstrować swoje męstwo przede wszystkim przez antysemityczne zagrywki, wołając na każdego żydowskiego żołnierza „żydek”<sup>20</sup>. On nauczył także polskich kompanów odgraniczać się od „Żydów”<sup>21</sup>. Tak rozpoczęło się zatruwanie naszej atmosfery antysemityzmem. Po dwóch dniach pobytu w gimnazjum na ul. Konopackiej dostaliśmy rozkaz wyjazdu do Rembertowa<sup>22</sup>, skąd przysłała informacja, że nieopodal, w Okuniewie<sup>23</sup>, [3] wylądowali na spadochronach niemieccy żołnierze. Naszym zadaniem było ich odszukać i zlikwidować. Wspomniany podoficer antysemita wybierał do tej roboty przede wszystkim Żydów. Na marginesie muszę dodać, że dla nas, rezerwistów, których już bardzo długo nie powoływano do ćwiczeń wojskowych, strzeleckie rzemiosło stało się czymś bardzo odległym. Po prostu zapomniało się, jak trzymać karabin w ręku. Powszechna dezorganizacja dowództwa naszej armii, która nastąpiła w naszej kompanii, była wyraźnie widoczna w naszym batalionie. Zamiast ćwiczyć z nami sztukę strzelania, pozostawiono nas w pierwszych dniach siedzących z założonymi rękami i wypatrywano rozkazów. Z Rembertowa

<sup>18</sup> Cytadela warszawska – twierdza zbudowana w latach 1832–1834 na rozkaz cesarza Mikołaja I z zamysłem kontroli nad miastem, w 1918 r. przejęta przez Wojsko Polskie; oprócz 30 Pułku Strzelców Kaniowskich, stacjonował tu 21 Pułk „Dzieci Warszawy” oraz mieściły się Centralne Składy Broni, Centra Wyszkozenia Rusznikarzy oraz Gołębi Meldunkowych, jak również Laboratorium Kapsli i Kapiszonów.

<sup>19</sup> Prywatna Żeńska Szkoła Heleny Rzeszotarskiej przy ul. Konopackiej 4.

<sup>20</sup> <sup>d-d</sup> W oryg. w j. pol. alfabetem hebr.

<sup>21</sup> <sup>e-e</sup> W oryg. w j. pol. alfabetem hebr.

<sup>22</sup> Rembertów (pow. Warszawa), obecnie dzielnica Warszawy.

<sup>23</sup> Okuniew (pow. Warszawa).

szybko wyjechaliśmy samochodem do Okuniewa, gdzie mieliśmy znaleźć niemieckich spadochroniarzy. Nasz podoficer, który miał poprowadzić tę ekspedycję, wkrótce pokazał swoje męstwo. Oddał grupę, składającą się tylko z Żydów, którzy nawet nie wiedzieli, jak prawidłowo trzymać karabin, pod dowództwo 18-letniego <sup>f</sup> „strzelca”<sup>24</sup>, nawiasem mówiąc, takiego chłopca na posyłki, jakiego można było mieć za jednego papierosa. I to właśnie on miał z grupą Żydów rozpocząć walkę z niemieckim desantem. Sam podoficer zaszył się gdzieś, bojąc się o swoją [4] skórę. Rozpoczęliśmy marsz, ale gdy pod Okuniewem zbliżyliśmy się do jakiegoś wzniesienia, posypał się na nas z góry grad kul i wszyscy, ze <sup>g</sup> „strzelcem”<sup>25</sup> włącznie, rozbiegliśmy się we wszystkie strony i nikt nie wiedział, gdzie się kto podział. Gdy wracając z Okuniewa i czekając na moich towarzyszy, rozmyślałem o tym, co się wydarzyło, z jednej strony ogarnął mnie śmiech z powodu naszego „wielkiego bohaterstwa”, a z drugiej strony przeszedł dreszcz na myśl o tym, w jaki sposób chce się walczyć z wrogiem. Po dwóch dniach w Rembertowie, zgodnie z rozkazem, pomaszerowaliśmy z powrotem do Warszawy. Droga, którą maszerowaliśmy, przedstawiała straszny widok. W lasach i na drogach, po obu stronach, roilo się od uchodźców i wozów z rzeczami. Było tam również mnóstwo żołnierzy z różnych rozbitych jednostek polskich, wygłodzonych, brudnych i bez żadnego dowództwa. Panował chaos, nikt nie wiedział, co się z nim stanie.

W Warszawie zostaliśmy tym razem zakwaterowani na Saskiej Kępie, tuż przy linii Wisły. Ale ledwie się zakwaterowaliśmy, a już trzeba było z powodu ciężkiego bombardowania naszych koszar w dużym pośpiechu to miejsce [5] opuścić. Kilka interesujących szczegółów dotyczących opuszczenia przeze mnie Saskiej Kępy. Gdy przyszedł rozkaz o opuszczeniu domu, w którym stacjonowaliśmy, pełniłem wartę z karabinem przy bramie. Wtedy podszedł do mnie wspomniany podoficer i kazał mi, nie dając na moje miejsce żadnego zmiennika, udać się do kuchni polowej, znajdującej się na ulicy, której nie znałem i nie wiedziałem, jak na nią trafić. Gdy mu powiedziałem, że nie mogę przecież opuścić warty i nie wiem, jak tam dojść, wyciągnął rewolwer i zagroził, że strzeli, wymierzył mi kopniaka w bok i rozkazał iść. Zacząłem błądzić pod niebezpiecznym ostrzałem ze wszystkich stron, bo front zbliżył się do Wisły. Doszedłem do rogu jakiejś ulicy, gdzie stał pijany kapitan z rewolwerem w dłoni i nie pytając, po co i gdzie idę, krzyknął <sup>h</sup> „na front”<sup>26</sup>, bo jak nie, to strzeli. Zacząłem kierować się w stronę Wisły. Po drodze spotkałem akurat dowódcę naszej kompanii, oficera. I kiedy mu opowiedziałem, skąd się tu wzięłem, kazał mi natychmiast wracać [6], wyśmiawszy przy tym rzeczonoego podoficera, ponieważ z miejsca, do którego mnie posłał, nie można było wrócić. Gdy wróciłem, skąd wyszedłem, na miejscu stały już samochody, które miały przewieźć nas

<sup>24</sup> <sup>f-f</sup> W oryg. w j. pol. alfabetem hebr.

<sup>25</sup> <sup>g-g</sup> W oryg. w j. pol. alfabetem hebr.

<sup>26</sup> <sup>h-h</sup> W oryg. w j. pol. alfabetem hebr.

w bezpieczne miejsce. Dostaliśmy rozkaz powrotu do Warszawy, ale w momencie gdy samochód zaczął już ruszać z miejsca, pojawił się ten sam kapitan, który wcześniej mnie zatrzymał i krzychał „na front”<sup>27</sup>, i za żadne skarby świata nie chciał go puścić. Rozkazał, by żołnierze wrócili na front. Nie zważając na groźby kapitana, samochód ruszył do przodu i szybko popędził w kierunku Warszawy. Całą drogę od Saskiej Kępy do Warszawy przejechaliśmy pod gradem szrapneli i bomb, Praga stała w płomieniach i do Warszawy dojechaliśmy dopiero wieczorem. W Warszawie zostaliśmy zakwaterowani w budynku YMCA<sup>28</sup>.

Tu, w tym budynku otwiera się dla Żydów smutny rozdział antysemityzmu. Pierwszego dnia po naszym przyjeździe zostałem ponownie zaproszony jako pisarz do kancelarii kapitana, ale już następnego ranka kazano mi stamtąd iść. Na moje pytanie do szefa kancelarii, jaki jest ku temu powód, [7] z pewnym zawstyżeniem dał mi on do zrozumienia, [że to przez to], że jestem Żydem. Krótko po tym dowiedziałem się, że wydano rozkaz, by wszystkim Żydom odebrać karabiny i utworzyć z nich batalion pracy. I tak też się stało. Rozkaz został niezwłocznie wykonany. Żydom ściągnięto mundury i ubrano ich w wojskowe ubrania robocze. Z niecierpliwością czekaliśmy na to, co będzie dalej. W budynku Imki zostało urządzone kasyno, gdzie żołnierze po przystępnych cenach mogli kupić różne dania. Wkrótce jednak przyszedł rozkaz, że Żydom wstęp do kasyna jest wzbroniony. Byłem świadkiem następującej sceny w kasynie (jeszcze przed zakazem). Nasz major wraz z kapitanem weszli do kantyny i odezwali się w te słowa: „pełno tu Nalewek”<sup>29</sup>. Major zapytał żydowskiego żołnierza, dlaczego ten nie je w kuchni polowej, tylko płaci za zupę tutaj, o co nie przyszło mu do głowy zapytać ani jednego chrześcijanina. Nie zważając na zakaz, bufet dalej sprzedawał Żydom jedzenie, ale to się nie podobało dowództwu batalionu. Postawiono więc żołnierza przy drzwiach do kantyny i tym sposobem Żydzi nie mogli już do niej wchodzić. A kto był Żydem, strażnik [8] łatwo mógł rozpoznać, nosili oni przecież stroje robocze.

Również w budynku Imki nie pozostaliśmy jednak długo. Tam też wywęszyli nas Niemcy i po ciężkim bombardowaniu musieliśmy opuścić budynek. Wróciliśmy do cytadeli. Nie mieliśmy czasu odsapnąć, bo bombardowanie cytadeli stało się tak silne, że samo wystawienie głowy za okno było niebezpieczne. Braku jakiegokolwiek organizacji dowodzi następujący fakt. Podczas bombardowania pod cytadelą, w całkowicie odsłoniętym miejscu, znajdowały się spore zapasy benzyny i innego paliwa, które powinny być umieszczone głębiej w cytadeli. O tym fakcie przypominano sobie dopiero wówczas, gdy bombardowanie rozhulało się na dobre i wtedy

<sup>27</sup> i-i W oryg. w j. pol. alfabetem hebr.

<sup>28</sup> YMCA – Young Men’s Christian Association – Związek Chrześcijańskiej Młodzieży Męskiej (ang.), budynek Polskiej YMCA („Imki”) przy ul. Konopnickiej 6.

<sup>29</sup> j-j W oryg. w j. pol. alfabetem hebr.

ponownie nam, grupie Żydów, kazano poprzemnieść setki beczek z benzyną i innym paliwem do wnętrza cytadeli, co wiązało się ze śmiertelnym niebezpieczeństwem. Niemniej rozkaz ten wypełniliśmy, nie bacząc na ogromne ryzyko. [9] Udało nam się jednak uratować tylko część tych zapasów, bo zaraz rozpoczęło się ciężkie bombardowanie tego miejsca i musieliśmy je opuścić.

W cytadeli przeżyliśmy sceny, których nie da się opisać. Byliśmy stłoczeni jak stado owiec. Całymi dniami i nocami leżeliśmy na mokrej i zimnej podłodze, w każdej minucie spodziewając się śmierci. Pamiętam pewien dzień z bombardowania, kiedy wszyscy naciągnęliśmy sobie płaszcze na głowy i tak czekaliśmy na śmierć, nie chcąc jej spojrzeć prosto w oczy. Cytadelę opuściliśmy w momencie, gdy dach i ściany naszych koszar zaczynały się walić. Jest to kolejny, wyrazisty obraz porządku panującego w armii. W ścianie koszar utkwiał szrapnel. Nie możemy ich jednak opuścić, bo nie było takiego rozkazu. Zaczynamy szukać kogoś z dowództwa, nikogo nie można znaleźć. Schowali się we wnętrzu cytadeli i zapomnieli o pozostałych tysiącach żołnierzy, których również trzeba ratować. Dopiero po godzinach poszukiwań odnaleźliśmy naszego oficera i otrzymaliśmy pozwolenie na opuszczenie koszar. Dokąd powinniśmy się udać, nie wiedzieliśmy. Rozpoczęła się bieganina [10] i pod niebezpiecznym ostrzałem dotarliśmy na ul. Bonifraterską, gdzie my, grupa Żydów, weszliśmy do schronu w piwnicy. Tam wśród Żydów przeczekaliśmy do rana. Warszawa płonęła wówczas ze wszystkich stron, zaś przede wszystkim jej żydowska część.

O świcie odszukaliśmy naszych towarzyszy, którzy zostali zakwaterowani w gimnazjum dla pracowników tramwajowych na ul. Młynarskiej<sup>30</sup>. Stamtąd zostaliśmy wysłani do kopania okopów na kilku przedpolach Woli, około dwóch kilometrów od pierwszej linii frontu, ale bez karabinów. Szliśmy, w każdej chwili byliśmy wystawieni na śmierć i nawet w najmniejszym stopniu nie mogliśmy się bronić. Dwa dni pod strasliwym ostrzałem budowaliśmy okopy, które do niczego się nie przydały, gdyż wróg zbliżał się do nas szybkimi krokami. I ponownie parę słów o „bohaterskich czynach” naszych dowódców wojskowych: gdy my pod strasliwym gradem szrapneli budowaliśmy okopy, nasi oficerowie i podoficerowie siedzieli sobie w odpowiednio zabezpieczonych, gotowych już okopach obronnych i palili papierosy. My mogliśmy robić, co tylko [11] chcieliśmy, bo oni bali się głowę wychylić. Interesująca rzecz: dwa dni przed kapitulacją Warszawy, gdy wróciliśmy do koszar z kopania okopów na wolskich polach, nie napotkaliśmy tam nikogo z dowództwa i każdy mógł robić, co tylko chciał. Dowództwo gdzieś się zasyło i nie dbało o nic innego, jak tylko o własny ratunek.

---

<sup>30</sup> Chodzi o budynek I Miejskiego Gimnazjum i Liceum Męskiego im. gen. Sowińskiego oraz Szkołę Powszechną w Warszawie przy ul. Młynarskiej 2, projektu Mikołaja i Tadeusza Tołwińskich (projektowany pierwotnie jako siedziba Ochrony i Szkoły Przemysłowo-Rzemieślniczej dla dzieci pracowników Tramwajów Miejskich).

Stosunek moich żydowskich towarzyszy do ich obowiązków był na początku poważny. Przed pojawieniem się antysemickich zagrywek nie zauważyłem, by Żydzi chcieli się wykręcić od wypełniania powierzanych im zadań, jakiegokolwiek by one były. Przeciwnie, z ich strony wyczuwało się nawet pewien patriotyzm. Na przykład Żydzi wyszli w naszej kompanii z inicjatywą, żeby oddać żołnierską pensję, <sup>k</sup> „żołd”<sup>k31</sup>, na obronę państwa, co było później przykładem dla innych. Fakt ten został opisany w polskiej prasie. Pominęto jednak tam informację, że ta inicjatywa wyszła od Żydów. Byłem w armii 28 dni, do momentu kapitulacji Warszawy. 28 dni w tym samym ubraniu, bez snu, bez porządnego jedzenia, ale przecież my nawet do ostatniej [12] minuty nie wiedzieliśmy, że tak smutno skończymy.

Inni żydowscy żołnierze mówili, że „ich koniec nie mógł być lepszy, skoro nawet w tak ciężkich czasach myśleli o tym, jak dręczyć Żydów, a nie jak ratować kraj przed upadkiem”.

[tłum. z j. żyd. Iga Monika Kościołek]

ARG I 1099 (Ring. I/445)

Opis: oryg. lub odpis, rkps, atrament, j. żyd., 160×200 mm, k. 6, s. 12.

Inw.: „Zeznanie Zelmana Kawy”.

---

*Po 09.1939, b.m. N.N., Relacja z kampanii wrześniowej 1939 r. Warszawa w nocy z 5 na 6.09.1939 r. (fragment)*

---

4.

[1] III<sup>32</sup>

Warszawa w nocy...

Któż z nas nie pamięta wesołej Warszawy, gdy z nastaniem zmroku ulice jarzyły się wielobarwnymi światłami, neony jaskrawe i figlarne bawiły oko, a pięknie urządzone wystawy zapraszały do przystawania przed nimi, stwarzając iluzję powszechnego dobrobytu i zadowolenia. Poprzez ten kalejdoskop światła przewijał

---

<sup>31</sup> k-k W oryg. w j. pol. alfabetem hebr.

<sup>32</sup> Możliwe, że relacja była fragmentem większej całości, z której zachowała się tylko przytoczona część „III”.

się tłum grzeczny i wesoły, żądny zabaw, wytchnienia, pewny siebie, zniknął w lokalach, kawiarniach czy teatrach, by znów rozedrganą falą przeciskać się po zalanych światłem arteriach wielkiego miasta.

Warszawa w nocy z 5-ego na 6-ego września 1939 roku... Tramwaj kolejki elektrycznej wcisnął się jak widmo w samo serce miasta, pogrążonego w ciemności. Pasażerowie wysiedli cierpliwie, nie orientując się zupełnie, w jakim kierunku mogą udać się do domów. Noc dziwnie parna, gorąca, przesycona elektrycznością. Ludzie raczej przechodzą krokiem gorączkowym, syreny prawie zupełnie zaćmionych aut ryczą groźnie i niesamowicie, ale ponad wszystko góruje głos speakera nawołującego mężczyzn do robót nad umocnieniami pozycji obronnych stolicy. Widać było wynurzające się z mroku szeregi robotników z łopatami i oskardami. Przygnębienie było powszechne i udzielało się każdemu. Dorożkarze kłęli bardziej wulgarnie niż zwykle, choć mniej hałaśliwie. Najbardziej jednak przykrym zgrzytem była melodia zapowiadająca stację radiową Warszawa II, te same pierwsze takty Chopinowskiego poloneza, odznaczającego się wyjątkowym optymizmem i pewnością siebie. Tej nocy robiły wrażenie wprost makabryczne. Była to ta sama noc, w której wiele tysięcy młodych ludzi opuściło Warszawę, idąc za wezwaniem rządu na powiewierkę, a często na śmierć<sup>33</sup>.

Wojna i jej straszliwe atrybuty pokazywać zaczęły swe prawdziwe oblicze.

[2] Łatwiej było w normalnych czasach dostać miejsce w samolocie komunikacyjnym niż w dorożce owej strasznej nocy. Z trudnością, poprzez ciemność i zatory aut wojskowych oraz wyrzekań przechodniów, dojechaliśmy do znajomych, u których spędziliśmy noc bezsenne, pełną koszmarów i widziadeł.

Milszy ranek rozświetlił nareszcie leniwymi promieniami szare i nieprzyjazne tego dnia mury kamienic. Wyjrzałem przez okno. Tłumy ludzi pędziły gorączkowo w niewiadomym kierunku, gnane gorączką wojenną, a może przeznaczeniem. Środkiem ulicy dwóch wyrostków prowadziło w kajdanach mężczyznę. Szpieg... Słowo to przechodziło z ust do ust, budząc dziwne uczucia czegoś nieznanego, groźnego.

W godzinę później dowiedziałem się od znajomych, że większość młodzieży opuściła Warszawę, podążając za wojskiem, za rządem, a najpewniej gnane strachem przed czymś nieznanym, przed czymś, co wisiało w powietrzu, jeszcze nie-uformowane, ale przeczuwane, bliskie realizacji. Nie zastanawiałem się długo. Były dwie drogi: uciekać owczym pędem jak inni albo zaciągnąć się do wojska na ochotnika. Wybrałem to drugie. Wleciałem do domu, narzuciłem na siebie kurtkę i plecak, rzuciłem się w ramiona zrozpaczonych moim nagłym postanowieniem rodziców i zbiegłem jak szalony ze schodów, gnany spazmatycznym wołaniem mojej matki.

Na najbliższym skrzyżowaniu ulic natknąłem się na policjanta. Stał osowiały i bezradny, prawie niepotrzebny. „Po co pan tu stoi?” – zapytałem mimo

<sup>33</sup> Autor tu się myli, gdyż płk Umiastowski wygłosił przemówienie z tym apelem w nocy z 6 na 7 września 1939 r., zob. przyp. w dok. 1.

woli. „Kazali stać, więc stoję, jak przyjdą Niemcy, mam strzelać” – odpowiedział, gorzko uśmiechając się. Słowa jego załatywały rozprężeniem i anarchią, pomieszaną z apatią człowieka zrezygnowanego. Przyspieszyłem kroku i po półgodzinie ujrzałem cytadelę warszawską, groźną i budzącą zaufanie. Serce zabiło mi żywiej. Byłem prawie zadowolony. Należałem do jednych z niewielu, którzy w tej chwili uznawali ważność swej osoby, gdy widzieli jasny, namacalny cel przed oczyma. Zacząłem biec prawie.

ARG I 1101 (Ring. I/1220/50)

Opis: oryg., rkps, atrament, j. pol., 209×296 mm, k. 1, s. 2.

Na s. 1 na górze inf.: „III” i tytuł: „Warszawa w nocy...”.

---

*Po 10.1939, Warszawa-getto. N.N., Dziennik pt. "א בינטל מילחמה זכרונות" [„Garstka wspomnień wojennych”] (6.09–15.10.1939 r.). Opis wydarzeń z pierwszych dni wojny i okupacji*

---

5.

[1] °Garstka wspomnień wojennych.<sup>e34</sup>

### 6 września 1939 r.

Dopiero dzisiaj poznałem powagę sytuacji... To zdecydowanie za późno, co najmniej o dzień za późno, niż wymaga się od inteligentnego człowieka. Nie mam czasu na analizowanie mojego opóźnienia w zorientowaniu się o ten jeden dzień, który teraz ma znaczenie całego roku. Mam wrażenie, że byłem oszołomiony od pierwszych 6 dni wojny i byłem zbyt mocno zasklepiony w mojej własnej sytuacji, tak smutnej, że nie przykładałem wagi do tego, co robią trzeźwo myślący ludzie... uciekają na wschód.

Dziś wieczorem poszedłem budować barykady na ulicy Grójeckiej na Ochocie. Widok młodego porucznika w zwykłej żołnierskiej czapce i mundurze, bez dystynkcji oficerskich, zbratanego w ciężkiej pracy ze zwykłym cywilem, nawet z Żydem, dał mi do zrozumienia, że jest źle. Nie miałem radia i dlatego wezwanie, że mężczyźni mają opuścić Warszawę (czy takie wezwanie rzeczywiście nastąpiło?)

---

<sup>34</sup> °c Tekst napisany ręką Hersza Wassera.



dotarło do mnie jako pogłoska<sup>35</sup>. Tej nocy jednak otrzeźwiałem. Barykady, przewracanie tramwajów i wozów na meble w poprzek ulic, wrywanie drzew, przewracanie parkanów, wszystko to przeszło bez przesadnego entuzjazmu. Pomyślałem sobie, że ludzie: robotnicy, inteligenci, młode dziewczyny, brodaci Żydzi, którzy znajdują się w jednym szeregu i podają sobie z ręki do ręki cegły i kamienie, robią to jakby na pożegnanie, ostatni raz, a potem – wszystko rzucają i uciekają, nie myśląc, co będzie dalej. Najważniejsze – bez paniki...

### 7 września 1939 r.

Szosa na wschód...

Wiemy już, czym jest atak lotniczy, jak należy się zachowywać. Wiemy już, czym jest strach i tęsknota do dawnych wygod. Ucieka się od braku chleba i głodu we wszystkich jego formach. Ucieka się w większy głód i poniewierkę. Dlaczego? Wydaje się, że ludzie, których spotyka się na drogach, sami nie wiedzą, przed kim uciekają. Czy to naprawdę możliwe, aby wróg był tak przerażający? A jednak niewiść do niego jest wielka. Przypomina mi się, jak w pierwszych dniach wojny (pobiegłem do miasta zająć się spłaceniem zobowiązań) spotkałem wielką masę ludzi, którzy prowadzili złapanego szpiega. Panowało wielkie wzburzenie. Ludzie byli źli na policjantów, którzy rozganiali ludzi kijami (było to na ulicy Niskiej i zrozumiałe jest, że 90% tych ludzi było Żydami). Pytałem siebie, czy te kije nie były przeznaczone czasem dla Żydów, którzy krzyczeli „Precz z Hitlerem”.

Wracam na szosę...

Teraz, po ponad roku, kiedy pogłoski są najpotężniejszym megafonem, rozumem, w jaki sposób przy arteriach wyjazdowych Warszawy zgromadzili się mężczyźni, kobiety i całe rodziny. W drodze spotykam wielu znajomych. Dokąd? Do Siedlec, Brześcia, Lublina. Jeszcze pojawia się blask humoru w oczach. Czy to dlatego, że na dnie walizki jest schowanych 5 tabliczek czekolady? Na stacji Wawer<sup>36</sup> spotykamy nasze siły zbrojne. Karabin maszynowy stoi za latarnią... Fort „samowarek”<sup>37</sup> cały obleżony przez ludzi. Nikt nie rozmawia. Ludzie uważają, bo... mówią, że Haberbusz<sup>38</sup>, Ulrich<sup>39</sup> i inni. Ja też się załapuję. Jeszcze my, jeszcze inni.

<sup>35</sup> Chodzi o przemówienie radiowe płk. Romana Umiastowskiego, zob. przyp. w dok. 1.

<sup>36</sup> Stacja kolejowa w miejscowości Wawer (obecnie dzielnica Warszawy), położona na tzw. linii otwockiej.

<sup>37</sup> Samowarek – potoczna nazwa podwarszawskich kolejek dojazdowych.

<sup>38</sup> Haberbusch – znana warszawska rodzina pochodzenia niemieckiego, będąca udziałowcami Spółki Akcyjnej Zjednoczonych Browarów „Haberbusch i Schiele”, zarządzającej browarami w Warszawie, Białymstoku, Ciechanowie, Kaliszu i Łodzi.

<sup>39</sup> Ulrichowie (Ulrychowcie), rodzina warszawskich ogrodników, pierwszym jej przedstawicielem był Jan Bogumił (1775–1844), założyciel w 1805 r. ogrodu hodowlanego w Warszawie, był jednocześnie w latach 1808–1816 nadwornym ogrodnikiem Fryderyka Augusta, jego syn Jan Krystian (1809–1881) kontynuował działalność ogrodniczą w Warszawie. Główna siedziba firmy

Rozglądam się. Przyjaciół. Do Lublina. Umawiamy się tak czy owak. [2] Tego samego dnia – Otwock<sup>40</sup>. Pełny, ale nie z powodu kuracjuszy. Straszliwy bałagan. Sklepy wyprzedane. Na stacji stoi wielki pociąg wojskowy od kuchni po magazyn części do armat z dalekim zasięgiem. Ktoś wyciągnął białą chusteczkę i potrząsnął nią w powietrzu. W tym momencie strzał. Padł szpieg. Tego jednak nie wiadomo...

### 7–14 września

Pojechałem do Kołbieli<sup>41</sup> i wróciłem do Otwocka. Uchodźcy wracają. Nie ma chleba ani wody. „Wypito studnie”. Niemieckie samoloty siekają na kawałki ludzi, konie, samochody. Otwock – w bardzo złym stanie. Również tu chleb jest luksusem. Jak podają niemieckie odezwy zrzucone z samolotów: „Wiemy, że jedynym waszym pożywieniem są ogórki i cukierki”. Z sanatoriów powstają szpitale. Telefony do Warszawy oblegane. Radio gra<sup>42</sup>. Podpułkownik wezwał mieszkańców Warszawy do wystawienia w oknach głośników, aby żołnierze mogli słyszeć marsze wojskowe.

Moja żona: Starzyński<sup>43</sup> zrobi porządek. Jedynie Żydzi trzymają sklepy zamknięte. Można to wszystko opisać? Przerywane wiadomości. Wróg jest po tej stronie Wisły czy po tamtej? Jeden sieje panikę i dostaje w mordę od robotnika kolejowego. Ja szukam pary wygodnych pantofli. Znajduję, ale nie chcą sprzedać. Boję się iść do sklepu, bo przecież są ataki lotnicze. Rozprzestrzenia się napięty nastrój. Coraz częstsze jest stanie w kolejkach po chleb pod gradem kul. Nie ma sensu iść dalej ani pakować się do pociągu ewakuacyjnego do Lwowa. Zdaje się, że więcej wraca, niż jedzie na wschód. Ja jadę do Warszawy.

### 15 września

Wychodzę nocą. Idę przez Świder<sup>44</sup>. Sto metrów na prawo spłonęły dwa domy. Troje dzieci zginęło. Po co zrzucili tu bombę? W Falenicy<sup>45</sup> poruszenie. Powracających do Warszawy gromadzi się w jednym miejscu. Można pomyśleć, że to oznaka zorganizowania. Bardzo dobrze. Bardzo dobrze, że jeszcze jeździ kolejka<sup>46</sup>.

---

Ulrichów od pocz. XIX w. mieściła się przy ul. Ceglanej 11, a zakład ogrodniczy w Ulrichowie (Górcze).

<sup>40</sup> Otwock (pow. Warszawa).

<sup>41</sup> Kołbiel (pow. Mińsk Mazowiecki).

<sup>42</sup> Stacja Warszawa II Polskiego Radia, mimo wysadzenia masztu w Raszynie 7 września oraz zbombardowania elektrowni warszawskiej 23 września, nadawała aż do 30 września 1939 r.

<sup>43</sup> Stefan Starzyński (1893–1943), prezydent w Warszawy w latach 1934–1939, obrońca stolicy we wrześniu 1939 r. jako komisarz cywilny przy Dowództwie Obrony Warszawy.

<sup>44</sup> Świder (pow. Warszawa).

<sup>45</sup> Falenica (pow. Warszawa).

<sup>46</sup> Prawdopodobnie chodzi o linię wąskotorową Jabłonna–Warszawa Most–Karczew (tzw. kolejka jabłonnańska), zbudowaną w latach 1899–1914, zamkniętą ostatecznie w 1963 r.

Wsiadam. Pracownik tramwajów opowiada, że był przez kilka dni w niemieckiej wsi, która została ominięta przez bomby. Nie wiemy jeszcze, że to się będzie nazywało „piąta kolumna”<sup>47</sup>.

I znowu Wawer. Stacja końcowa, bo dalej tory są zniszczone. Śpię na ziemi kilka godzin, bo do Warszawy nie można wejść przed 5 rano. Resztkę chleba daję psu, którego właściciel porzucił i którego od tej chwili będę pilnował, ogrzewając się jego głodnym oddechem.

Masy ludzi wracających do Warszawy są może nawet większe od uciekających. Mosty, o dziwo, są całe, ale przede wszystkim musi przejść wojsko, które również wraca. Po kilku godzinach jestem u siebie w domu. Trochę zawstydzony, że nie zaszedłem dalej.

### 15–25 września

Na pierwszy rzut oka, nie zagłębiając się w żadne podręczniki, w oblężeniu Warszawy nie ma żadnych podobieństw do oblężenia Paryża w 1870 r.<sup>48</sup> Rozwój motoryzacji i lotnictwa odcisnęły na sytuacji silne piętno. [3] Wyobraź sobie, że duch Paryża inaczej wyglądał niż warszawski bałagan. Chaos jest nie do opisania. Jest tu jednak wspólny element. W chaosie najlepiej przedstawiają się robotnicy i ich organizacje. Szybko zostają wymazane elementy państwowe, a przede wszystkim różne ambicje. I gdyby nie wspomniana motoryzacja i ataki lotnicze, gdyby nie stokroć większy strach o własne życie, możliwe... Nie chciałem robić żadnego porównania z komuną paryską, ale jeżeli ktoś kiedyś będzie badał audycje radiowe w ramach działalności PPS, kto wie, czy nie pojawi się takie porównanie.

Tymczasem...

«N.I.»<sup>49</sup> szuka rodziny. Rodzina szuka N.I., który wyszedł z domu 6 września... Ludzie doświadczają wojny jak na dłoni.

### 25 września – 1 października

Z okresu bombardowań mam mało wrażeń. Siedziałem w pokoju i zamknąłem się na opowiadane okropności. Jednego najgorszego dnia wywarła na mnie wrażenie scena: starszy brat prowadził młodszego w wózku dziecięcym. Obaj zostali ciężko trafieni. Ten, który pchał wózek, został w pozycji stojącej, pochylony nad wózkiem.

Wszystko minęło i bomby ucichły. W dniu, w którym poddała się Warszawa (nikt jeszcze o tym nie wiedział)<sup>50</sup>, polscy oficerowie szli przez miasto i opowiadali, że: 1) Sikorski nadciąga z jednej strony, 2) Rydz-Śmigły z wojskiem sowieckim z drugiej. Z tego powodu zapanował wielki entuzjazm. Również ja wyszedłem na

<sup>47</sup> Określenie dywersantów i sabotażystów, pochodzące z okresu wojny domowej w Hiszpanii (po raz pierwszy użył go gen. Emilio Mola w 1936 r. w przemówieniu radiowym).

<sup>48</sup> Paryż był oblężony przez wojska pruskie przez cztery miesiące, poczynając od września 1870 r.

<sup>49</sup> «-» Zapisane alfabetem łacińskim.

<sup>50</sup> 28 września 1939 r.

most Kierbedzia<sup>51</sup> wyglądać czerwonych flag, które powinny pojawić się od strony Pragi. Czerwone flagi nie pojawiły się, natomiast z rzadka rozklejano meldunki dowództwa miasta o poddaniu się Warszawy.

Pierwsza gazeta ścienna zawierała informację, że Żydzi będą przez wkraczające wojsko niemieckie traktowani na równi z resztą obywateli. Tak też było. Dopiero po kilku dniach wygoniono Żydów z wielkich kuchni „Nationalsozialistische Volkswohlfahrt” (NSV)<sup>52</sup>, które przyciągały uwagę wielkimi transparentami.

Cóż to były za czasy, kiedy szedłem na plac Marszałka Piłsudskiego<sup>53</sup> i otrzymywałem gazety od niemieckich żołnierzy. Czego nie było w tamtych gazetach!

A jednak Polacy to zawzięty naród! Kiedy do Warszawy weszły pierwsze niemieckie oddziały, wyszli z miasta jego obrońcy.

[4] W Alejach Jerozolimskich stało zbiorowisko i cicho wykrzykiwało: „Niech żyje polska armia. Jeszcze się zobaczymy”.

Dziś znowu poszedłem na plac Piłsudskiego. Żadnej gazety już nie dostałem. Tymczasem jakiś szeregowy wygłaszał referat na temat ostatniego przemówienia Führera. Wszystko jest zrozumiałe samo przez się, jasne i oczywiste. Tymczasem, niestety, również i dla mnie...

### 1–15 października

Dzisiaj po raz pierwszy złapali mnie do pracy<sup>54</sup>. Dokładnie w dzień defilady przed Hitlerem. Dziwne, jak nasi „konwojenci” się bali, rozglądali się cały czas, rzucali się z rewolwerami. Czy rzeczywiście nie wiedzą, że jesteśmy zrezygnowani?

Cały czas dowiadujemy się, co nas czeka. Łapanie, ograniczenia i atmosfera bicia. W niemieckich gazetach czytamy, co się wydarzyło. Volksdeutsche, mordy masowe itd. Od uchodźców dowiadujemy się, co ich spotkało.

Gmina<sup>55</sup> stała się ważną instytucją.

<sup>51</sup> Pierwszy stalowy most na Wiśle w Warszawie, zbudowany w latach 1859–1864 – nazwa pochodzi od nazwiska projektanta i budowniczego przeprawy, Stanisława Kierbedzia. Zniszczony w 1915 r., odbudowany rok później. We wrześniu 1944 r. wysadzony przez Niemców; po wojnie na ocalałych filarach mostu wzniesiono most Śląsko-Dąbrowski (część trasy W-Z).

<sup>52</sup> Narodowosocjalistyczna Ludowa Opieka Społeczna – organizacja założona w 1933 r., z siedzibą w Berlinie, zajmująca się pomocą społeczną.

<sup>53</sup> Plac Józefa Piłsudskiego, do 1928 plac Saski, w latach 1940–1945 Adolf Hitler Platz, w latach 1946–1990 plac Zwycięstwa.

<sup>54</sup> Niemcy łapali Żydów na ulicach i zmuszali do wykonywania pracy przymusowej, głównie przy odgruzowywaniu Warszawy. Aby tę sytuację unormować, 19 października 1939 r. utworzono Batalion Pracy, który miał werbować robotników. Zob. *Getto warszawskie*, s. 161.

<sup>55</sup> Gmina Wyznaniowa Żydowska w Warszawie, od 7 października 1939 r. Rada Żydowska. Od 23 września 1939 r. przewodniczącym gminy (faktycznie od 7 września), a następnie RŻ był Adam Czerniaków. Zob. Rafał Żebrowski, *Żydowska Gmina Wyznaniowa w Warszawie 1918–1939. W kręgu polityki*, Warszawa 2012, s. 729.

W Joincie każdy z dumą przypomina: „Ja przenosiłem albo przeprowadzałem produkty pod bombami”. A potem, jak zwykle, protekcja... Jedna z największych drukarni została opuszczona przez właścicieli. Pracownicy przejmą zarząd. Wielkie zebranie. Dziwię się, że takie rzeczy są możliwe w czasie wielkiej niepewności. Wygląda na to, że teraz wszystko jest możliwe.

[tłum. z j. żyd. Magdalena Siek]

ARG I 477 (Ring. I/993)

Opis: odpis (2 egz.), rkps (MS\*), ołówek, j. żyd., 148×210 mm, k. 8, s. 8.

Tytuł tekstu nadany przez H.W.

Na marginesach litera hebr. (atrament): „, z”.

Dok. był przechowywany w segregatorze.

Edycja na podstawie I. egz., k. 4, s. 4.

---

## 6. *b.d., Warszawa-getto. N.N., Wspomnienia o przeżyciach z 7.09.1939 r. w Warszawie*

---

[1] W dniu 7 września 1939 r. o godz. 5 rano obudziło mnie gwałtowne pukanie do drzwi. Otwieram. Dozorczyni (mąż na wojnie). Każdy musi pójść kopać okopy. Ha, cóż, nie ma rady. Poszło nas dwunastu, lecz ja i kolega Czesław pozostaliśmy w tyle. Wychodzimy na most Poniatowskiego. Szary świt, nastrój niewyraźny, typowo nalotowy. Okazuje się, że chodziło o zaciągnięcie się do pomocniczych oddziałów. Kroczymy przez Saską Kępę, gdy w tym [momencie] nalot. Trudno w szczerym polu udawać bohatera. Wchodzimy do jakiejś willi. Siadam na schodach i filozoficznie myślę, co też będzie dalej. Budynek trzęsie się od huku bomb niczym na morskich falach, artyleria przeciwlotnicza gra aż miło. Wreszcie wszystko ma swój koniec. Idziemy dalej. Dochodzimy do najbliższego policjanta i pytamy go, gdzie się znajduje najbliższy punkt mobilizacyjny. Policjant rozdziawił usta i wykrzyknął: „Rety, coście poszaleli, uciekajcie, pókiście cali. Spojrzałem na przyjaciela i on na mnie, i pomyśleliśmy sobie, że zła już jest sytuacja, jeśli policja tak się zachowuje. Idziemy dalej ulicą Grochowską, przepchać się nie sposób. W kierunku wschodnim wali każdy, kto w Boga wierzy lub nie. Policja, duchowieństwo, kobiety, dzieci, chłopci, inteligencja, słowem trudno sobie wyobrazić te nieprzebrane mrowie ludzkie posuwające się noga za nogą wzdłuż ulicy szerokości co najmniej dziesięć, dwanaście metrów. Pomyślałem sobie: cóż tu działałoby się, gdyby

nadleciał jeden, ale tylko jeden bombowiec nieprzyjacielski. Ja z kolegą, nie będąc ogarnięci szałem ucieczki, postanowiliśmy już od razu za wszelką cenę przedostać się z powrotem. Ale aby dostać się z powrotem, należało połączyć [się] telefonicznie z miastem. Łatwo powiedzieć, ale jak uczynić? Wchodzimy na posterunek policji<sup>56</sup>. Tam ujrzałem, jak jeden z policjantów, blady jak śmierć, i który szcękając zębami, bełkocze: „Nie mamy masek. Nie wiemy, co robić dalej i dokąd uciekać”. Spojrzeliśmy po sobie ze smutkiem, potrząsnęliśmy głowami i wyszliśmy. Oczywiście<sup>aa</sup>[...]aa, że sklepy ogołacane, jak przez szarańczę. Można było tylko dostać pod dostatkiem wody sodowej. Podchodzimy pod sam Grochów. Tam z boku stała znakomicie zagospodarowana rolna ferma „Hechaluc”<sup>57</sup>. Obecnie fermerzy wyjechali, żywność rozdali ludności, a konie wojsku. Wchodzimy tam. Witają nas wybitnie podejrzane typy, które gospodarują na fermie na całego. Ferma ta była pierwszą widzianą przeze mnie ofiarą wojny. Rozkradziono tam, za wyjątkiem ścian, dosłownie wszystko. Niesłychany śmietnik, puste oczodoły okien, bałagan ogólnie panujący wywarły okropne wrażenie. Ale o radości! Na stole pomiędzy tysiącami walających się papierów stał telefon. Wkładam ręce do kieszeni i mówię: „Ten, kto dotknie aparatu, dostanie kulą w łeb”. Opryszkowie spieszyli się, mają odważną minę i pozostawili nas w spokoju. Łączymy się z Komisariatem Rządu i tu wydali nam rozkaz natychmiastowego powrotu. Ale niestety, znowu dwanaście samolotów nad Warszawą i przedstawienie od początku. Czekamy godzinę, dwie i powoli przekradamy się ku Warszawie. Na rogu alei Waszyngtona stoją zenitówki<sup>58</sup>. Powiadam do kolegi: „Zejdźmy w bok, nie lubię tego sąsiedztwa”. Zaledwie skończyłem, rozległ się nad naszymi głowami szum motorów i... Ledwo wpadliśmy do jakiegoś opustoszałego bloku domów na ulicy Stanisława Augusta. Siadam sobie na schodach i widzę, jak od bombowca odrywa się bomba i leci... Dokąd, czy w nasz dom, czy gdzie indziej, trudno sobie [z]dać sprawę, ale uczucie, gdy się widziało tę nadlatującą śmierć, było mocno nieprzyjemne. Ja osobiście w tej chwili tylko myślałem, co też się dzieje w naszym domu, gdzie pozostało 150 kobiet i dzieci i dwóch starszych, mocno tchórzliwych panów. Idąc dalej, widziałem dom trafiony tysiackilową bombą. Trzy deski, czterystumetrowe jezioro i koniec. Na ulicy Zielenieckiej ktoś został ogłuszony bombą. Szary, oczy wyszczerzone, mówić nie może, słowem... Na Saskiej Kępie znowu dwie wille rozburzone. Gruzy, już się kręcą ludzie, odgrzebując ofiary. Na moście Poniatowskiego, który przebiegliśmy kłusem, 3 dziury od bomb. Przed pół godziną był właśnie gwałtowny nalot. Idąc w kierunku domu, widzimy na naszej ulicy wielkie poruszenie. Okazuje się, że

<sup>56</sup> Być może na ul. Grochowskiej 172 (XVII posterunek policji).

<sup>57</sup> Ferma rolnicza „Hechaluc-Pionier” (ul. Witołńska 43) istniała w latach 1920–1942 na Grochowie między ulicami Grochowską a Ostrobramską. Zob. Cywia Lubetkin, *Zagłada i powstanie*, tłum. Maria Krych, Warszawa 1999, s. 37–39.

<sup>58</sup> Zenitówka – potoczne określenie działka przeciwlotniczego.

przed 20 minutami została zbombardowana stojąca tuż koło naszego domu składnica taborów wojskowych<sup>59</sup>, 25 trupów i 200 rannych... Skracamy w naszą ulicę, nasz dom stoi. [2] Okrzykom i powitaniami nie było końca. Myśmy byli pierwsi, którzy wrócili. Reszta z wielkim trudem przedostała się z powrotem [po] sześciu-ośmiu tygodniach.

ARG I 1098 (Ring. I/1076)

Opis: oryg. (rkps, atrament, 223×348 mm, drobne uszkodzenia i ubytki tekstu), odpis (3 egz., mps, 217×277 mm, uszkodzenia i ubytki tekstu), j. pol., k. 4, s. 5.

Zał. notka H.W.: „Wydział Młodzieżowy ŻTOS przekazał do archiwum”.

Edycja na podstawie oryg. (rkps), k. 1, s. 2, z wykorzystaniem także odpisów (mps), k. 3, s. 3.

---

7. 06.1942, Warszawa-getto. [Sz. Szajnkinder<sup>60</sup>], *Zapiski dzienne z kampanii wrześniowej (18–21.09.1939 r.) (fragment)*

---

[1] 24. Nowy szef

Poniedziałek, 18 września [1939]

Gdy się obudziłem, było już jasno. Dookoła wszyscy jeszcze spali w tych samych pozycjach, co wczoraj w nocy. Niektórzy siedzieli, podpierając się rękami, inny leżeli, wtuleni w płaszcze lub koce. Kapitana już nie było. Pomyślałem wtedy, że nie jestem mu teraz potrzebny. Jednak niedługo po tym poczułem ciężar bycia nowym szefem kompanii. Szybko zapomniałem o wczorajszych ciężkich przeżyciach, w głowie miałem tylko słowa kapitana: „zajmiesz jego miejsce i chcę tu widzieć porządek”.

Zebrałem się szybko i wyszedłem na ulicę. Wczesnoporanne powietrze i jesienny wietrzyk trochę mnie orzeźwiły. Nie czułem w ogóle zmęczenia, tylko dziwną gorycz w ustach, zapewne od zbyt wielu wypalonych w nocy papierosów. Przy głównym wejściu do kwatery spostrzegam, że jeden z naszych koni stoi na trzech nogach. Czwartą trzyma w powietrzu i potrząsa nią. Natychmiast zauważam,

---

<sup>59</sup> Prawdopodobnie chodzi o Główną Składnicę Taborową w Warszawie przy ul. Solec 63.

<sup>60</sup> Sz. Szajnkinder (Szejnkinder), przedwojenny działacz i dziennikarz sportowy w Warszawie, w getcie warszawskim pisał dziennik, utwory literackie, a także opracowywał różne relacje dla grupy „Oneg Szabat”. Zob. też ARG I 461 (Ring. I/984).

że ma ranę na prawej przedniej nodze. Koń stara się schylić, chce żuć trawę. Zapomina przy tym o ranie i opuszcza również chorą nogę. Za chwilę ją jednak podnosi, z niemym bólem, jego piękna, końska szyja nie może dosięgnąć trawy...

Na dziedzińcu zastaję straszny widok. Przedemną w kałuży zastygłej krwi leżą dwa konie. Jeden z całkowicie rozerwaną klatką piersiową, drugi z rozplatanym grzbietem i zadem. Wóz, do którego były zaprzężone, jest cały. Od martwych koni bije potworny smród, ich widok strasznie drażni nerwy. Są to ofiary wczorajszego ostrzału artyleryjskiego. Nakazuję ludziom taboru, by sprzątnęli ofiary wczorajszych granatów i wchodzę do mojej nowej kwatery, w której wczoraj nie miałem okazji dłużej przebywać i się z nią zapoznać.

Ołdakowie<sup>61</sup> przyjmują mnie bardzo przyjaźnie. Oni również bali się śmiertelnie. W nocy spali na podłodze koło drzwi wejściowych. Bardzo się o mnie niepokoiłi. Między mną a domownikami momentalnie tworzy się przyjazna atmosfera. Pani Ołdak wraz z mężem i córkami Alą i <sup>b</sup>[...] Wacią przyjmują mnie jak swojego, jak domownika. Myję się, gospodyni podaje mi śniadanie i wszyscy zasiadają wokół stołu. Dowiadują się ode mnie, co zdarzyło się w nocy. [2] Opowiadam im o moich przeżyciach i widzę, jak młodsza córka, studentka <sup>c</sup>„wszechnicy”<sup>62</sup>, gorąca patriotka, dostaje rumieńców na twarzy. Starsza siostra, młoda mężatka, której mąż, inżynier, został na Żoliborzu, ciągle wydaje z siebie „oj”, jakby miała zaraz zemdleć. Sam Ołdak stale dotyka swoich białych, wypielęgowanych wąsów i tylko Ołdakowa spokojnie słucha i wyraża zadowolenie, że wyszedłem z tego cało. Nie znali Riakina<sup>63</sup> [?]. Dowódca ten od początku im się nie podobał i są zadowoleni, że go nie ma. Twierdzą, że ze mną i z Zapolskim<sup>64</sup>, którego nachwalić się nie mogą, będzie całkiem dobrze.

Odświeżony i syty idę się rozejrzeć po swoim królestwie. Widzę, że konie dalej leżą, tak jak leżały, i ludzie taboru nie spieszą się, by je usuwać. Przywołuję ich i w żołnierskich słowach daję do rozumienia, że konie muszą być uprzętnięte. Nowy, rozkazujący ton zrobił swoje. Niebawem wzięto do pomocy paru cywili i za pomocą grubych sznurów odciągnięto trupy i pogrzebano za parkanem. Widzę, że koń z raną, uniesioną w powietrzu nogą wciąż tu stoi. Stoi zrezygnowany, nie próbuje <sup>aa</sup>[...] <sup>aa</sup>skubać trawy, łeb ma spuszczoney. W międzyczasie otrzymuję rozkaz z batalionu, że wszystkie konie ranne w nogę lub kolano, więc nieuleczalne, mają być zastrzelone, a ich mięso – spożytkowane. Rozkaz ten odczytuję, gdy stoję akurat na wprost konia i wzbiera we mnie współczucie dla tego dużego, pożytecznego zwierzęcia. Wchodzę do izby i znajduję na stole biały brauning Jaśka. Jest naładowany. Wracam do konia. Odwrócił do mnie łeb, jakby oczekiwał ode mnie

<sup>61</sup> Brak bliższych informacji o tych osobach.

<sup>62</sup> <sup>c-c</sup> W oryg. w j. pol. alfabetem hebr.

<sup>63</sup> Brak bliższych informacji o tej osobie.

<sup>64</sup> Brak bliższych informacji o tej osobie.



pomocy. I rzeczywiście przychodzę mu z pomocą. Krótkim strzałem w skroń kończę jego cierpienie. Koń upada, a moje ciało przechodzi dreszcz. W mojej głowie rozległ się czyjś głos: „Zabiłeś”...

Niczym gospodarz ponownie udaje się na spacer po schronie. Nic się tu nie zmieniło. W dalszym ciągu żyje się tu w brudzie i wilgoci, bez poczucia upływającego czasu. Nie wiem, jak to się stało, ale w piwnicy wszyscy już wiedzieli, że od dziś to ja decyduję o kotle, o ich losie. Wszyscy próbują mi się przypodobać. Właśnie kokietuje mnie młodzianka dziewczyna z Poznania. Ma na imię Janka i jest całkiem pociągająca, tylko obawia się mi napraszać, bo jest pod „ochroną” przyjaciela rodziców, urzędnika kolejowego, z którym uciekła. [3] Jest teraz pod jego kuratelą. Ziuta ciągle oddala się od swoich rodziców, siostry i dziecka. Szuka jedzenia, przede wszystkim dla siebie... Za wszelką cenę... Pewną małą i bardzo grubą poznaniankę, która twardo wymawia „r”, otacza troje małych dzieci. Czwarte z nich kobieta trzyma przy dumnej i nabrzmiałej piersi. Dzieci stale hałasują, chcą jeść i ich matka odchodzi już od zmysłów.

Osobny rozdział stanowią sąsiedzi, mieszkańcy okolicznych domów z tej ulicy. Przychodzą tutaj o poranku wypoczęci, umyjni, nażarci i szukają schronienia przed bombami nieprzyjaciela. Wyglądają zupełnie inaczej niż stali mieszkańcy schronu, za to jęczą bardziej niż bezdomni, żeby ich tylko broń Boże o to nie posądzić, że mają co jeść... Gdy się coś rozdaje, stają razem z innymi, ale gdy jest cicho, wymykają się niepostrzeżenie z tego więzienia, w domu napychają sobie żołądki, odświeżają się i wracają znów z nieszczęśliwą miną.

Kieruję swoją uwagę na młodą, wysoką 18-letnią dziewczynę z dużym mięsistym nosem i szerokim, tłustym tyłkiem. Kręci się po całej piwnicy razem ze swoją matką, o równie okazałych kształtach. Uśmiecha się do mnie, próbuje być dowcipna, proponuje mi, żebym obok niej usiadł. Jej <sup>a</sup>[...] zdrowe, młode i <sup>a</sup>[...] ciało burzy we mnie krew. Próbuję z nią trochę porozmawiać <sup>aa</sup>[...] <sup>aa</sup>[...]. [Czuając moją rękę?] na swoim tłustym ciele, podskakuje jak kotka, szybko ją strąca i mówi: <sup>d</sup>„Panie szefie”<sup>d65</sup>, trochę przyzwyczaj...”

„Nie jesteś jeszcze tak wygłodzona jak Ziuta, Janka czy inne – myślę sobie – a więc pozwalasz sobie na dumę i wymagasz od wygłodniałego żołnierza przyzwoitości...”

Również moja gwardia wkrótce zmieniła do mnie stosunek. Nastawienie do mnie stało się przyjazne, bo ja sam już się zadomowiłem. Lomborg<sup>66</sup>, który był odpowiedzialny za aprowizację w kuchni, zrozumiał, że teraz będzie ode mnie zależny, szybko został ze mną za <sup>e</sup>„pan brat”<sup>e67</sup> i przyniósł mi prezent: nowiuteńkiego czarnego brauninga z kaburą. „To dla ciebie – mówi – szef nie może chodzić bez rewolweru”.

<sup>65</sup> <sup>d-d</sup> W oryg. w j. pol. alfabetem hebr.

<sup>66</sup> Brak bliższych informacji o tej osobie.

<sup>67</sup> <sup>e-e</sup> W oryg. w j. pol. alfabetem hebr.

Timienko<sup>68</sup> był w siódmym niebie. Młody dowódca bardzo przypadł mu do gustu. Kramewski<sup>69</sup> [?], kucharz, poczęstował mnie ciepłą słodką kawą i czekoladą z magazynu fabrycznego. „Ty jesteś swój chłop. Z tobą wszystko pójdzie dobrze” – klepie mnie po bratersku po ramieniu. Również zaspiani ludzie taboru zaczęli na mnie mrugać oczami. Ich oczy patrzyły na mnie z dziwną końską bystrością...

[4] <sup>aa</sup>[...] <sup>aa</sup>[Poczułem się jak władca?]. W czasie pokoju dowódca kompanii jest tak zwanym <sup>a</sup>[...] <sup>a</sup>kompanii i ma dużą władzę. Dziś ktośby tak powiedział, szczególnie że jest sam, polega tylko na sobie i do tego ma zarządzać kilkoma setkami cywili, którzy oddaliby wszystko za odrobinę jedzenia:

Również Zapolski i Kniachnicki<sup>70</sup> [?] przyjęli tę zmianę z zadowoleniem, bez śladu zazdrości, choć jako kadeci byli pierwsi do awansu. Obaj jednak wiedzieli, że dowódca jest obarczony pracą na miejscu i obciążony dużą odpowiedzialnością. Takim wolnym ptakom jak oni by się to nie spodobało. Nie można ich przykuć do jednego miejsca.

Po południu wracam do siebie do kancelarii i biorę się za bieżącą pracę. Dzień jest spokojny i można normalnie pracować. Sprawami żywności zajmuje się Kniachnicki, amunicją – Zapolski, a kuchnię polową – Lomberg. Muszę tylko zebrać wszystkie raporty, wyciągi i dostarczyć je do batalionu na Kamionkowskiej. Wcześniej jednak muszę odwiedzić kapitana, który to wszystko podpisze.

W izbie jest miło i przytulnie. Ala i Wacia dotrzymują mi towarzystwa. Rozmawiamy ze sobą bardzo przyjaźnie <sup>aa</sup>[...] <sup>aa</sup>. Wacia <sup>aa</sup>[...] <sup>aa</sup> czyta gazetę, oczywiście pełną dobrych wieści, pocieszających <sup>aa</sup>[...] <sup>aa</sup>. Ona wierzy w siłę polskiej armii, być może dlatego, że jej chłopak w niej jest.

Wieczorem znów schodzę do schronu. Głośno tam jak w ulu. Spokojny dzień wprawił każdego w dobry nastrój. Mężczyźni wypełzli na światło dzienne. Co bardziej odważni ryzykują, zapuszczają się trochę dalej i z czymś wracają. Nawet kobiety wyszły z dziećmi na słońce. Ludzie orzeźwili się, najedli i przybyło im odwagi. Szczególnie widać to po dzieciach, bawią się i hałasują, jakby były u siebie w domu.

Zbliża się godzina, gdy ksiądz przychodzi odprawić nabożeństwo wieczorne. Dziś nie przyszedł. Zapewne uważa, że kiedy jest cicho, jego obecność tutaj jest zbędna. ...Jeden pobożny idzie go jednak odszukać. Ale księdza nie ma. Ów wierzący pomyślał i idzie do pulpitu, żeby samemu odprawić katolicką minchę<sup>71</sup> i maariw<sup>72</sup>. Ludzie stają do modlitwy z przyzwyczajenia, bez takiej żarliwości i oddania, jak w tamte niespokojne dni...

<sup>68</sup> Brak bliższych informacji o tej osobie.

<sup>69</sup> Brak bliższych informacji o tej osobie.

<sup>70</sup> Brak bliższych informacji o tej osobie.

<sup>71</sup> Mincha (hebr.) – modlitwa popołudniowa.

<sup>72</sup> Maariw (hebr.) – modlitwa wieczorna.

Po modlitwie „kantor” rozsiada się i zaczyna opowiadać bardzo ważny sen, który mu się przyśnił zeszłej nocy i obfitował w bardzo ważne aluzje. Ludzie go ignorują <sup>a</sup>[...] <sup>a</sup>, [5] rozchodzą się z powrotem do swoich kątów, biorą jedzenie <sup>aa</sup>[...] <sup>aa</sup>.

Janek i Geniek zostają w piwnicy szukać „szczęścia”. Mnie za to odrzuca ten brudny i wstrętny ludzki jarmark. Na górze u Ołdaków jest tak wygodnie, cywilizowanie, a tutaj żyje się dziko i prymitywnie... Niech tu zostaną. Ja nie szukam szczęścia, powodzenia, ani mięsa.

Na zewnątrz jest już ciemno. Badawczym wzrokiem obrzucam kuchnię, tabory, moich ludzi. Przykazuję, by nocne dyżury były pełnione jak należy, wchodzę do mojej kwatery, gdzie czeka na mnie czysta i ciepła izba, skromna, ale pięknie podana kolacja oraz dobrzy ludzie, z którymi w ciągu dnia tak bardzo się żyłem i którzy stali się mi bliscy.

Gospodyni przygotowuje mi wygodne posłanie pośrodku izby. Pozostali domownicy nocują na podłodze w przedpokoju obok drzwi wejściowych. Boją się spać w pokoju. Dopiero teraz, po kolacji, odczuwam silne zmęczenie po nieprzespanych nocach i wstrząsających przeżyciach. Kładę się do łóżka w ubraniu. Trzeba być przygotowanym na wszystko. Trwa wojna <sup>aa</sup>[...] <sup>aa</sup>, rewolwer kładę obok siebie na stole.

Zanim zasnąłem <sup>aa</sup>[...] <sup>aa</sup>. Do przekonania <sup>aa</sup>[...] <sup>aa</sup>. Nie byliśmy na to przygotowani. Życzymy sobie wzajemnie dobrej nocy i <sup>aa</sup>[...] <sup>aa</sup> idziemy spać.

## [1] 25. Czego chcą Sowieci?

### Wtorek, 19 września

Poranki są już zimne. Jasek bardzo dobrze zrobił, że z centralnych magazynów na Jagiellońskiej<sup>73</sup> przywiózł dwa wozy pełne wełnianych kamizelek, ciepłej bielizny, rękawiczek i... czego się tylko dało. Taki już jest, ten dobry i wesoły Jasek; nie dba w ogóle o siebie, tylko o kwaterę, „jego” kwaterę, i o kompanię.

Patrzę na te nowiutkie ubrania i wychodzę z siebie ze złości. Dwa tygodnie siedzieliśmy w koszarach i nikt nie miał czasu nas ubrać jak należy. Nie zdołano również dać nam hełmów i koców. Dwa tygodnie jesteśmy już na polu bitwy. Zimne noce spędzamy na barykadach i drżymy z zimna. A tam, w ogromnych magazynach mundurowych na Jagiellońskiej, leży mnóstwo pożytecznych rzeczy, wszystko nowiusieńkie, i nikt nie może z tego skorzystać. Łada dzień, łada minuta mogą przybyć wrogie samoloty i wszystko to obrócić w ruinę. Kto wie, ile majątku narodowego zostało już zniszczone przez wroga, [przez] jakiegoś barana, który nie zdołał na czas zrobić z tego wszystkiego właściwego użytku.

Wkrótce wyślę do kilku plutonów trochę kamizelek. Niech wiedzą, że tu zarządza się inaczej i niech się nie lękają. Jasek zasługuje na największe pochwały.

<sup>73</sup> Okręgowy Zakład Gospodarczy nr 1 w Warszawie-Pradze, ul. Jagiellońska 52.

Naraża życie, byśmy mieli wszystko, czego potrzebujemy. Znajdujemy się jakby na bezludnej wyspie. Jeśli nie postaramy się o coś sami, to tego nie dostaniemy. A Jasiak się stara. Nie brakuje nam papierosów, nie brakuje nam czekolady ani słodyczy z fabryki<sup>74</sup>, nie brakuje nam żywności. Jasiak troszczy się o wszystko niczym dobra gospodyni. Ołdakowie są mu bardzo wdzięczni. Ich stosunek do nas jest, głównie dzięki niemu, bardzo serdeczny. Pani Ołdak krąży wokół nas jak dobra, oddana matka, a obydwie córki – jak dobre siostry. Również pan Ołdak, który pół przedpołudnia marnuje na pielęgnację swoich wielkich szarych wąsów, nie pozostaje w tyle i pomaga nam, jak tylko może.

Po śniadaniu każdy bierze się do pracy. Nie ma jej za dużo. Kniachnicki nie może się dogadać z Lombergiem przy kuchni polowej. Pozycja tego drugiego znacznie się wzmocniła. Lomberg robi w schronie różne interesy, wyrósł tam na prawdziwego króla, prawie że na... sultana. Geniek chce się go stamtąd pozbyć [2] i prosi mnie, żebym interweniował u kapitana i mu przekazał, co się tam przy kuchni wyczynia. On sam nie ma odwagi porozmawiać z kapitanem, bo ten go nie lubi.

Zapolskiego nie ma cały dzień. Biega dookoła jak pies gończy, i za każdym razem coś dzwiga: żywność, wino, owoce, i znika ponownie. U mnie wszystko przebiega spokojnie. To się pisze, to się je, to się coś przekąsi, to się z domownikami serdecznie pogawędzi i od czasu do czasu pójdzie się do schronu, by sprawdzić, czy wszystko w porządku. Tu spotykam wiecznie napraszającą się Ziułę oraz Jankę o czarującym uśmiechu i smutnym spojrzeniu, którą zaniedbuję. Zewsząd przychodzą do mnie ludzie z różnymi skargami i oskarżeniami. Jeden drugiego chce utopić w łyżce wody. Słucham, krzyczę, próbuję grozić różnymi sankcjami i na powrót robi się cicho. Tylko Timienko jest ciągle wesoły i wstawiony. Jest mną bardzo zachwycony i chce, abym został jego zięciem, mężem jego pięknej córki...

W połowie dnia atmosfera staje się poważna. Otrzymaliśmy dziś gazety, które nie przynoszą radosnych wieści. Sowietci idą ręką w rękę z Niemcami i już przekroczyli wschodnią granicę Polski<sup>75</sup>. Walka staje się beznadziejna. Przeciw dwóm takim olbrzymom nie będziemy mogli nic zdziałać. Dochodzi do pierwszych bitew koło Grodna i innych miejscowości, komunikat donosi, że musimy ustąpić przed wrogimi bolszewikami, którzy wbili nam nóż w plecy. Znowu dzieli się polską ziemię, tak jak 150 lat temu. Co z tego wyniknie? Czy cała nasza praca jest na próżno?

Z frontu zachodniego nie ma żadnych szczególnych wieści. Gen. Gamelin<sup>76</sup> planuje wielką ofensywę na Niemcy, i to ją rozpoczyna, to wyrusza, ale tak naprawdę przeprowadza ją tylko na papierze. My jednak zaczynamy tracić cierpliwość. Linia

<sup>74</sup> Prawdopodobnie z fabryki E. Wedla, znajdującej się przy ul. Zamoyskiego 28/30.

<sup>75</sup> Wojska sowieckie zaczęły zajmować wschodnie regiony Polski 17 września 1939 r.

<sup>76</sup> Maurice Gustave Gamelin (1872–1958), gen. armii Francuskich Sił Zbrojnych, naczelny wódz i głównodowodzący wojsk francuskich w czasie II wojny światowej.

Zygfyda<sup>77</sup> jest rzekomo przerwana w 7 miejscach (kłamstwo). My zaś czujemy, że wróg zatacza wokół nas coraz ciaśniejszy krąg.

Jakby na potwierdzenie tego znów zaczęły rozbrzmiewać wrogie działa. To jeszcze bardziej pogarsza nasz nastrój. Schodzimy do schronu. Ponownie wszyscy zbierają się, by odmówić modlitwę, tym razem jednak w większym strachu i zważeniu. Pod wieczór robi się cicho. Wraz z przyjściem Zapolskiego nasz humor trochę się poprawia. Zapolski przyniósł dobre rzeczy, w tym kilka butelek prawdziwego krymskiego wina. Pani Ołdak przygotowuje całkiem wystawną kolację. Zasiadamy do pięknie nakrytego stołu, jak podczas radosnego wydarzenia. Niczym niestrapiiony Zapolski pociesza nas, że z bolszewikami też damy sobie radę, jeszcze im pokażemy, kim jesteśmy – grzmi nasz Zagłoba<sup>78</sup>. I my poddajemy się jego słowom. Przystajemy się [3] martwić i zaczynamy jeść.

W połowie smacznego posiłku wchodzi Lomborg. Obrzuciwszy nas ukradkowym spojrzeniem, szybko zauważa, że wiemy tu lepszy żywot od niego i że jest ignorowany. Zatrzymał się. Jasiiek i Geniek spoglądają na niego spode łba, jak złe psy, które nie chcą, by kolejny pies dobrał się do smacznej kości. Ołdakowie ledwo go znają i sami nie wiedzą, jak zareagować. Staropolska gościnność zostaje uratowana przeze... mnie. Zapraszam go do stołu i podaję kieliszek alkoholu. On szybko się rozgrzewa, i próbuje się spoufalić, opowiadając dowcipy. Chytry, cwany Lomborg czuje jednak, że jest niepożądanym gościem, i szybko się wynosi.

Kolacja dobiegła końca. Schodzę na trochę do schronu, żeby się porozglądać i popoflirtować. Nie mogę sobie jednak znaleźć miejsca. W głowie bez końca kołata się pytanie: czego chcą Sowieci? Po co się w to mieszają? To pytanie nie daje mi spokoju i zapędza mnie z powrotem na górę, do izby. Leżąc na miękkim pościeliu (w ubraniu rzecz jasna), w całkowitej ciszy, w żaden sposób nie mogę znaleźć odpowiedzi na to trudne, tragiczne pytanie.

### Środa, 20 września

Poranek jest spokojny i piękny. Idę do kapitana do batalionu, i załatwiam bieżące sprawy bez żadnych przeszkód. W drodze powrotnej wstępuję do trzeciego plutonu. Cieszą się tutaj z mojej obecności: „Przyślij nam w końcu kocioł – błagają – przyślij nam chleb, papierosy, nie daj nam umrzeć z głodu”. Wydzielałam z torby tyle papierosów i słodczy, ile przy sobie mam. Kowalski patrzy na mnie życzliwie, z uznaniem. Nie rozumiem, dlaczego skarżą się na kocioł. Czy to oznacza, że Lomborg wcale nie jeździ z kotłem do plutonów? Szkoda, że w ogóle nie wspomniałem o nim kapitanowi, który jest tak zachwycony moją pracą.

<sup>77</sup> Linia Zygfyda (Wał Zachodni, linia Hindenburga) – system niemieckich umocnień fortecznych wzdłuż granicy Niemiec z Francją i Luksemburgiem (od miasteczka Kleve do Bazylei), powstałych w latach 1936–1939 i rozbudowanych do 1944 r., liczący ok. 600 km.

<sup>78</sup> Jan Onufry Zagłoba, bohater literacki stworzony przez Henryka Sienkiewicza w *Trylogii*.

Po powrocie czeka już na mnie, dobre jak zwykle, śniadanie, po którym idę zbadać sytuację w schronie oraz dowiedzieć się, co się dzieje w kuchni. „Trzeci pluton skarży się, że już od kilku dni nie dostaje jedzenia” – zwracam uwagę Lombergowi. – „A więc skarżą się tam, psie syny, chcą, żebym ryzykował, niech mi tylko ktoś ten kocioł po drodze roztrzaska. Co potem zrobimy? Co, myślisz, że jestem tchórzem, że boję się o swoją głowę? Kuchnia jest dla mnie ważna! A gdy im się ten kocioł przynosi, to wtedy jeść chcą, nie kręcą nosem, jedzenie im smakuje i każdy za odrobinę jedzenia jest wdzięczny jak pies”.

[4] Nie odpowiadam mu z dwóch powodów: po pierwsze ma on trochę racji, a po drugie w jego wypowiedzi było tyle hipokryzji, że lepiej z nim nie dyskutować. Wracam do izby. Ludzie są przybici z powodu nowo powstałej sytuacji. Szczególnie zdenerwowana jest Wacia. Przynosi poranną gazetę, w której nie można znaleźć ani krzty pocieszenia. Są tam za to zakamuflowane, źle skonstruowane komunikaty sztabu, niejasne informacje o konieczności odwrotu, zestrzelonych samolotach i zniszczonych czołgach (straty wroga są oczywiście większe), a także pocieszające „kaczki”<sup>79</sup> o szybko nadchodzącej pomocy z zachodu, w którą powszechnie przestało się już wierzyć.

Przed południem pojawia się u mnie nowy posłaniec kapitana, Łukomski, żołnierz z pierwszego plutonu. Czując, że nie jestem jednym z profesjonalnych „repeciarzy”<sup>80</sup> i nie taki zły ze mnie człowiek, próbuje wyprosić u mnie pozwolenie, żeby wymknąć się rowerem na ulicę. Podoba mi się ten wysoki chłopak z Pomorza. „Słuchaj – mówię mu – dam ci <sup>h</sup>przepustkę<sup>h81</sup>, ale pod warunkiem, że zajdziesz do mojego domu, przekazesz mojej żonie tę oto paczkę (chleb i czekoladę) i wrócisz do mnie z listem od niej”.

Łukomski nie posiada się z radości. Zapewnia, że dostarczy paczkę i przyniesie list. Chcąc mi się przypodobać, napomyka, że dla <sup>i</sup>„pana szefa”<sup>i82</sup> zrobi wszystko, i po chwili znika z paczką i z rowerem. Po dwóch godzinach jest już z powrotem. Prawdziwy chwyt z tego chłopaka, i list mi przyniósł, w którym Danką, moja mała Danką, pisze: „jesteśmy cali i zdrowi, chleb i czekoladę otrzymałam. Nie myśl o nas w ogóle. Co robisz, jesteś cały i zdrowy? Nie śpię przez ciebie całymi nocami, tylko proszę Boga o twoje zdrowie. Dawaj o sobie częściej znać. Twoja...”.

Pozdrowienia z domu przenoszą mnie do minionych wydarzeń, które wydają się bardzo odległe. Gdzieś w oddali moim oczom znów ukazała się Danką, jej wilgotne oczy, jej czerwone usta, dom, hałaśliwa ulica, redakcja i mój mały kotek, który nie chciał zejść mi z ramion w dniu, gdy powołano mnie do wojska. Gdzie to wszystko jest? Czy to w ogóle było? Wydaje się, że to było tak dawno.

<sup>79</sup> f-f W oryg. w j. pol. alfabetem hebr. Tu: kaczka dziennikarska.

<sup>80</sup> g-g W oryg. w j. pol. alfabetem hebr.

<sup>81</sup> h-h W oryg. w j. pol. alfabetem hebr.

<sup>82</sup> i-i W oryg. w j. pol. alfabetem hebr.

Moje rozmyślania przerywa warkot samolotów wroga. Ponownie trzeba zejść do schronu, o wszystkim zapomnieć i słuchać modlących się na kolanach ludzi oraz przerażających detonacji.

[5] Wieczorem, gdy jest już cicho, dowiaduję się, że bomba wpadła do Instytutu Teletechnicznego<sup>83</sup> i kapitan był zmuszony przenieść się wraz z dwoma plutonami bliżej linii frontu, gdzie wróg nie zrzuca bomb.

Odzyskujemy humor, gdy Jasiek zjawia się z workiem na plecach. Znowu przyniósł co nieco do kwatery i dzięki temu również dziś mamy smaczną kolację, po której idziemy się trochę rozerwać do schronu.

Wracając na górę, by położyć się spać, napotykam w kwaterze nowego gościa, starszego, na wpół sparaliżowanego sąsiada, niejakiego Raczyńskiego<sup>84</sup>. Raczyński boi się spać u siebie w mieszkaniu na trzecim piętrze. Siedzi na kanapie, trzęsie się, mówi do siebie i przebąkuje o swoich dwóch synach oficerach, którzy są na froncie.

Kładziemy się spać. Od czasu do czasu słychać wystrzały artylerii wroga. Granaty wybuchają niedaleko od nas i nie pozwalają zasnąć. Pan Raczyński nieustannie modli się o życie swoich synów. Blask świecy połączony z siwizną jego brody tworzą razem niezwykłą atmosferę.

Działa już ucichły, pan Raczyński jednak wciąż nie śpi i nie daje spać innym, tylko modli się, płacze, jęczy, tęskni...

## 26. U kapitana na nowej kwaterze

### Czwartek, 21 września

Wczesnym rankiem przybywają do nas nowi goście. Batalion z 21 pułku<sup>85</sup> wycofał się w panice z przedniej linii frontu i teraz znajduje się obok naszej kwatery. Część żołnierzy rozmieściła się na dziedzińcu kwatery, część po drugiej stronie ulicy, wszyscy rozproszeni, bezdomni i zdezorientowani. Teraz kopią doły, by się schronić przed bombami lotniczymi nieprzyjaciela.

Dzień upływa spokojnie. Kręcę się między swoimi „poddanymi” w kuchni, ucinam sobie pogawędkę raz z jednym, raz z drugim i idę do mieszkania, gdzie

<sup>83</sup> Prawdopodobnie chodzi o obecny Instytut Tele- i Radiotechniczny na ul. Ratuszowej 11. Powstał on, jako Instytut Radiotechniczny, w 1929 r., który w 1934 r. został połączony z Laboratorium Teletechnicznym Ministerstwa Poczty i Telegrafów, tworząc Państwowy Instytut Telekomunikacyjny.

<sup>84</sup> Brak bliższych informacji o tej osobie.

<sup>85</sup> 21 Warszawski Pułk Piechoty „Dzieci Warszawy”, sformowany w 1918 r., brał udział w bitwie pod Mławą, od 10 września 1939 r. bronił Warszawy, jeszcze 27 września pułk utrzymywał „pozycje obronne atakowane w nocy przez nieprzyjaciela, a w godzinach rannych wykonuje przeciwnatarcie wzdłuż ul. Grochowskiej”, zob. Władysław Bartoszewski, *1859 dni Warszawy*, Kraków 1974, s. 56.

czuję się najlepiej. Raczyński wciąż tam jest. Zeszła do niego teraz żona, piękna i dużo młodsza od niego. Siedzi przy stole razem z moją gospodynią i powierzają sobie nawzajem swoje troski. Staruszek drzemie, stęka i w ogóle nie przysłuchuje się ich rozmowie <sup>a[...]</sup><sup>a</sup>. <sup>a[...]</sup><sup>a</sup> Córki gdzieś poszły. Pan Ołdak majstruje w kuchni.

Łukomski przychodzi ponownie. Jeszcze <sup>a[...]</sup><sup>a</sup> jedną <sup>j</sup>przepustkę<sup>86</sup>? Nie, Łukomski tym razem nie jedzie na ulicę, ponieważ przyszedł do niego brat. Pyta, czy nie chciałbym przekazać mu paczki... Pewnie, że chcę, wcale miły gość z tego Łukomskiego. Przekazuję jego bratu paczkę: ponownie chleb i czekoladę z fabryki, i polecam, by nie zapomniał ich dostarczyć i przynieść mi następnego dnia listu od mojej Danki.

Pod wieczór przychodzi posłaniec od kapitana. Kapitan potrzebuje mnie pilnie u siebie, a obecnie znajduje się w fabryce odbiorników radiowych „Telefunken” na Owsianej<sup>87</sup>. Ubrajam się, jak należy, biorę też mały hełm, który dostałem wcześniej (od Zapolskiego) i ruszam z posłańcem w drogę. U kapitana szybko załatwiam sprawę. Na dziedzińcu ponownie spotykam mojego redakcyjnego kolegę Domańskiego<sup>88</sup>, który tu przybył jako dowódca 1 plutonu na miejsce zabitego Rona<sup>89</sup>. Obaj się radujemy. Zaczynam z nim rozmawiać w sposób oficjalny, tytułuję go „panem <sup>k</sup>porucznikiem<sup>k790</sup>”, on czuje się tym urażony: „Jaki <sup>panie</sup> poruczniku<sup>791</sup> – mówi – „zwariowałeś, dla ciebie nie jestem żadnym porucznikiem...”.

Pograżamy się w rozmowie, nie o sporcie tym razem, naszym do <sup>a[...]</sup><sup>a</sup> niedawna zawodowym temacie, tylko o obecnym położeniu, o naszej sytuacji. Domański [2] jest daleki od entuzjazmu. Uważa, że <sup>a[...]</sup><sup>a</sup> mamy bardzo małe szanse i że cała ta gra nie ma już sensu. Jest dla mnie wiarygodny, ponieważ w ostatnim czasie był kilka razy w Niemczech i z pewnością orientuje się lepiej niż inni.

Po powrocie zastaję w mojej kwaterze <sup>m</sup>plutonowego<sup>m92</sup> z 21 [pułku], który prosi, bym mu tu pozwolił wypłacić <sup>n</sup>żołd<sup>n93</sup> jego żołnierzom. Proszę bardzo. Nie otrzymaliśmy jeszcze pieniędzy od batalionu. Bugajski<sup>94</sup> już dobrze wiedział, jak zająć się tymi sprawami. Widzę, że również żołnierze z 21 [pułku] pobierają tych parę groszy z obojętnością i apatią. Na co zdadzą się pieniądze, kiedy i tak nic za nie się nie dostanie...

<sup>86</sup> j-j W oryg. w j. pol. alfabetem hebr.

<sup>87</sup> Chodzi o Zakłady Radiowe Telefunken, które znajdowały się na ul. Owsianej 14 na Pradze. Powstały w 1937 r. i do wybuchu wojny produkowały radiodobiorniki. Właścicielem fabryki był Jan Pakulski.

<sup>88</sup> Brak bliższych informacji o tej osobie.

<sup>89</sup> Brak bliższych informacji o tej osobie.

<sup>90</sup> k-k W oryg. w j. pol. alfabetem hebr.

<sup>91</sup> l-l W oryg. w j. pol. alfabetem hebr.

<sup>92</sup> m-m W oryg. w j. pol. alfabetem hebr.

<sup>93</sup> n-n W oryg. w j. pol. alfabetem hebr.

<sup>94</sup> Brak bliższych informacji o tej osobie.



Chcę już położyć się spać, ale znów przychodzi do mnie posłaniec kapitana i oznajmia, że ten mnie pilnie potrzebuje. Nie ma się ochoty ciemną nocą iść taki kawał drogi, ale nie ma rady. Biorę ze sobą mój naładowany rewolwer oraz pas z kilkoma ręcznymi granatami i wyruszam! Na ulicy jest cicho i przerażająco ciemno. Żeby skrócić sobie drogę, idziemy przez podwórko i gdy przedostajemy się na drugą ulicę, robi się nam jasno (i ciemno) przed oczami. Z pobliza nadciąga czerwony płomień. To dom tak płonie już od wczoraj. Mijamy kilka martwych koni. Idziemy przez czerwone płomienie, mijamy <sup>a[...]</sup><sup>a</sup> ostygłe szkielety. Wkrótce natykamy się na kolejny dom stojący w płomieniach, później na jeszcze jeden i jeszcze jeden... Ściany tych domostw syczą, jak gdyby miały się z nich polać łzy...

Droga między rozpadającymi się domami i płomieniami przyprawia nocą o dreszcze. Czerwone, spragnione języki ognia szukają w powietrzu kogoś, kogo mogłyby objąć, czarny dym wzbija się do góry z wściekłością i zatruwa powietrze. Idziemy obaj pochyleni, w ciszy, pięści mamy zaciśnięte i zgrzytają nam zęby... Biedni mieszkańcy Kamionkowskiej i Terespolskiej, dlaczego ich to spotyka? Przeciwno komu zgrzeszyli?...

Docieram w końcu do kapitana. Siedzi przy stoliku, w wielkiej poczekalni fabryki i... drzemie. Bogucki, Franke, Grochocki<sup>95</sup> siedzą w kątach sali i biorą przykład z kapitana. Zobaczywszy mnie, zaczynają mrugać oczami. Wciskam im do ręki po parę cukierków, odmrukują mi coś i śpią dalej. Pośrodku sali na tapczanie leży młoda kobieta i grymasi. Obok niej leży nadzorca fabryki, jej mąż, i próbuje ją uspokoić. Danusia... szepcze, Danusia... Ale Danusia, która ma opaskę Czerwonego Krzyża na ramieniu, najwyraźniej jest złą, złośliwą <sup>a[...]</sup><sup>a</sup> kobietą, która miewa egoistyczne kaprysy. Pali się malutka lampka elektryczna. W rogu stoi odbiornik radiowy <sup>a[...]</sup><sup>a</sup> i wszyscy go cicho słuchają. Starzyński [3] w dalszym ciągu, zachrypniętym jak u kantora przy <sup>a[...]</sup><sup>a</sup> modlitwie [?] głosem, pociesza warszawiaków, podnosi ich na duchu, wzywa, by wytrwali w tej historycznej bitwie. Równocześnie zwraca się w kierunku Londynu: „Słuchajcie! Potrzebujemy szybkiej, konkretnej pomocy!”.

W Bukareszcie doszło do zamachu na premiera Călinescu<sup>96</sup>. Premier nie żyje. W rumuńskiej stolicy jest niespokojnie. Radio nadaje w ciszy, chłoniemy każde słowo, w napięciu i z niecierpliwością czekamy na informacje o tym, co się teraz dzieje na świecie, jaki czeka nas los i jak wygląda ogólna sytuacja. Chcemy usłyszeć jak najwięcej... Nagły, głośny trzask przerywa napiętą ciszę. Jakiś pracownik fabryki przybiega z rozpaczliwym krzykiem: „Płonie dach budynku!”.

Mąż Danusi szybko zeskakuje z tapczanu, wkłada strój dozorczy i wybiega ratować dach. Po krótkim czasie wraca mokry, zablocony i zadowolony: ryzykował

<sup>95</sup> Brak bliższych informacji o tych osobach.

<sup>96</sup> Armand Călinescu (1893–1939), rumuński ekonomista i polityk, zamordowany 21 września 1939 r. w Bukareszcie przez członka Żelaznej Gwardii.

zycie, ale ugasił pożar. Nim zdąży się jednak dobrze ułożyć obok swojej niezadowolonej Danusi, znów rozlega się trzask. Cały budynek nagle się kołysze, co budzi nawet naszego kapitana. Mąż Danusi znów biegnie gasić pożar, również kapitan z Rogalem<sup>97</sup> wychodzą zobaczyć, co się dzieje, a my dalej siedzimy w kątach sali <sup>a[...]</sup><sup>a</sup> bez słowa.

Ciszę przerywa kapral Zagórny<sup>98</sup>, jeden z ochotników, który dołączył do plutonu Rona w lesie, na tyłach parku Paderewskiego<sup>99</sup>. Wpada do środka przestraszony, cały potargany. Twarz pokrywają mu duże krople potu, w rękę trzyma karabin, oczy ma szeroko otwarte, dzikie.

„Gdzie jest kapitan!” – pyta zmienionym głosem. Nikt mu nie odpowiada. Każdemu szkoda przerwać drzemkę. „Gdzie jest kapitan! – zaczyna krzyczyć już głośniejszym – wracam z patrolu i muszę się z nim zobaczyć, co tak tu wszyscy śpicie? Jak możecie tak spokojnie spać?”

Takiej „impertynencji” to już Danusia znieść nie może. Kieruje na niego całą gorycz, jaką ma w sercu, i zaczyna mu wymyślać. Wyrzuca mu, że zachowuje się prymitywnie i chamsko, i że nie pozwala jej spać.

Zagórny podskakuje jak oparzony. „Coo, kto? Mnie nazywa pani chamem? Mnie pani o grubiaństwo posądza? Spać pani nie daję, droga siostrzyczko z Czerwonego Krzyża! A ja to śpię? Mnie to się spać pozwala? Czy pani chociaż wie, ile to ja nocy już nie spałem? <sup>a[...]</sup><sup>a</sup> Kim ty w ogóle jesteś, żeby to <sup>a[...]</sup><sup>a</sup>. [4] W ogóle mi się nie podobasz <sup>a[...]</sup><sup>a</sup>! A może jesteś szpiegiem, dywersantką <sup>a[...]</sup><sup>a</sup>?”

Teraz Danusia zrywa się z posłania i <sup>a[...]</sup><sup>a</sup> krzyczy: „Co, ja szpiegiem! Jak śmiesz, ty zakuty łbie, ty chamska mordo, mnie tak nazywać? Poczekaj tylko, aż wróci mój mąż, już on ci opowie, kim ja jestem!”

– „Twój mąż! A s...m ja na twojego męża i na ciebie, ty k...! Zaraz z tobą szybko skończę!”... Zagórny bierze się za repetowanie karabinu.

Dopiero w tym momencie zerwałem się z miejsca i szybko podbiegłem do Zagórnego. W dłoni błysnął mi „hiszpan”<sup>100</sup>, a lewą ręką wytrąciłem mu karabin. „Oszalałeś? – wrzasnąłem na niego. – „Tak się zachowuje polski podoficer w stosunku do kobiety? Wymachujesz karabinem, a sam masz pełne spodnie ze strachu... Wynoś się stąd i idź szukać kapitana, przecież widzisz, że go tu nie ma”.

Zagórny popatrzył na mnie dzikim i szalonym wzrokiem. Nie zdołał jednak wykrztusić z siebie słowa. Podniósł karabin i szybko wyszedł. Dopiero teraz Danusia rozplakała się na dobre i poczęła głośno zawodzić nad swym <sup>a[...]</sup><sup>a</sup> gorzkim losem,

<sup>97</sup> Brak bliższych informacji o tej osobie.

<sup>98</sup> Brak bliższych informacji o tej osobie.

<sup>99</sup> Park Skaryszewski im. Ignacego Jana Paderewskiego w Warszawie na Pradze, utworzony w latach 1906–1922.

<sup>100</sup> Najprawdopodobniej chodzi tutaj o hiszpański pistolet samopowtarzalny. Były one często uproszczonymi kopiami pistoletów typu Browning.

nad swym życiem. Widząc jednak, że nie spotkało się to z niczyją reakcją, uciszyła się trochę i zaczęła pochlipywać pod nosem. <sup>a[...]</sup> W żaden sposób nie mogła pojąć, że ktoś mógł ją <sup>a[...]</sup> i oddaną <sup>aa[...]</sup> nazwać szpiegiem i dywersantką.

Gdy po paru godzinach z ciężkiej i śmiertelnie groźnej akcji gaszenia płonącego dachu wrócił jej mąż, zmęczony, zasapany, ranny, wtedy to Danusia wybuchła dopiero histerycznym płaczem. Z początku stanął bezradnie, nie wiedząc, co najpierw zrobić: zabandażować zakrwawioną rękę i zdjąć pokryte sadzą ubranie, czy uspokoić płaczącą żonę. Gdy jednak w końcu usłyszał, o co chodzi, wpadł w złość i porządnie zbeształ swoją histeryczną, rozpieszczoną żonkę.

To zadziało od razu. Danusia zrobiła się cicha jak myszka, skuliła się i zasnęła. Nie słyszała, jak jej mąż musiał ponownie wstać, by iść gasić dach, na który bezustannie spadały pociski z dział artyleryjskich. Nadzorca już całkowicie stracił cierpliwość. Przeklinał, na czym świat stoi. Takiej nocy to on jeszcze nie miał...

Kapitan również wraca niezadowolony. Też jest przemoczony i pokryty sadzą. Milczy, rozgląda się dookoła i pada zmęczony na krzesło. „Poczekaj... <sup>a[...]</sup> chwilę” – mówi mi – „chcę, żebyś mi coś napisał, ale teraz jestem strasznie zmęczony <sup>aa[...]</sup>”. [5] <sup>aa[...]</sup> [Co się tyczy naszego położenia, to jest ono bardzo ciężkie?]. <sup>aa[...]</sup> [Kapitan jest bezradny jak dziecko?]. Czuje się, że dostał <sup>aa[...]</sup>, [zadanie, którego w ogóle nie jest w stanie wykonać, i to bardzo ciąży mu na duszy?]. [Chce się od tego uwolnić, ale przez to, że znajdujemy się jakby na osobnej wyspie, nie ma komu przekazać tego brzemienia].

<sup>aa[...]</sup> Siedzę i czekam. Oczy kleją mi się do snu. Dookoła słyhać <sup>aa[...]</sup> żołnierzy, którzy nie dzielają trosk kapitana. Są już <sup>a[...]</sup> otepiali, zapomnieli o swoich domach, o swoim poprzednim życiu. Daj im tylko na czas jedzenie, papierosy, alkohol i zdrową dziewczynę, a wszystko ci zaakceptują.

Czekam, ale kapitan śpi jak zabity. Zrobiło się cicho, musi być już bardzo późno. Mała lampka rzuca dookoła przygaszone światło. Chodzę <sup>a[...]</sup> w miejscu to w jedną, to w drugą stronę, ale czuję, że nie będę w stanie dłużej walczyć ze zmęczeniem, ze snem.

Gdy już śpię, wydaje mi się, że słyszę głos kapitana: <sup>aa[...]</sup> już <sup>aa[...]</sup> dom. A może to był <sup>aa[...]</sup> [tylko sen?].

[tłum. z j. żyd. Iga Monika Kościółek]

ARG I 1089 (Ring. I/252; I/496)

Opis: Ring. I/252 – oryg., mps (rkps – Sz.\*, poprawki i uzupełnienia), j. żyd., 202×187, 203×255 mm, uszkodzenia i ubytki tekstu, k. 5, s. 5; Ring. I/496 – oryg., mps (rkps – Sz.\*, poprawki i uzupełnienia), j. żyd., 205×295 mm, drobne uszkodzenia i ubytki tekstu, k. 10, s. 10.

Z tekstu zachowały się trzy rozdziały: w Ring. I/496 – rozdz. 24 pt. "דער נייער שערף" [„Nowy szef?"]. Poniedziałek, 18.09.[1939]; rozdz. 25 pt. "וואָס ווילן די סאַוועטן?" [„Czego chcą Sowietci?"]. Wtorek i środa 19 i 20.09.[1939]; w Ring. I/252 – rozdz. 26 pt. "ביים קאַפיטאַן אין דער נייער קוואַרטיר" [„U kapitana na nowej kwaterze?"]. Czwartek, 21.09.1939 r.

Ring. I/252 – na s. 1 inf. H.W. w j. żyd.: „5 st-stron”.

Ring. I/252 – zał. notka H.W. w j. żyd.: „Napisał Szajnkinder, reporter, osobiste wspomnienia”.

Ring. I/496 – zał. notka H.W. w j. żyd.: „Autor Sz. Szajnkinder”; na s. 1 (rozd. 24): inf. rkps (zob.

Ring. I/530) w j. żyd. (atrament): „Sz. Szajnkinder”; inf. H.W. w j. żyd.: „5 st-stron; na s. 1 (rozd. 25): inf. H.W. w j. żyd.: „6 st-stron” i „czerwiec 1942”.

Inw. (Ring. I/252): „Autorem tekstu jest Szymon Kincer” (wg R.S.: „Szajnkinder?”).

Inw. (Ring. I/496): „Autorem tekstu jest Sz. Szajnkinder”.